

Dwór nad Narwią

Komedia serio
w trzech aktach

Osoby

TADZIO

BASIA – jego żona

LUTEK – niegdyś narzeczony Basi

AMELIA

KAMIL – poeta

JENERAŁ

PORUCZNIK – jego adiutant

PROFESOR

PANI DOCENT

WALEK

ABRAMEK

MARYLKA

Rzecz dzieje się w majątku nad Narwią, w okolicy Pułtuska.

AKT I

Salon w małym dworku. Dworek jest od dawna niezamieszkały: fotele i kanapy – simmlery z drugiej połowy XIX wieku – okryte są szarymi pokrowcami, na szarych ścianach pozostały białe plamy po zdjętych obrazach. Dwa okna – na wprost od widowni – zasłute są pajęczynami. Nic przez nie nie widać i dopiero, kiedy zostaną otwarte, okaże się, że znajduje się za nimi nie sad lub ogród, lecz wiejski cmentarz: krzyże i nagrobki stoją tuż pod oknami. Drzwi wejściowe z lewej i z prawej. Po lewej, niemal na proscenium, stolik, przy którym grają w karty Jenerał, Porucznik i Kamil. Walek śpi na kanapie. Walek jest na bosaka albo w łapciach, w białej koszuli wyrzuconej na białe portki. Jenerał i Porucznik w mundurach, Kamil we fraku lub w żakiecie. Kostiumy tych postaci raczej z pierwszej połowy XIX wieku. Ale oficerowie mogą też nosić mundury legionistów lub hallerczyków, a Kamil może być ubrany tak, jak ubierali się poeci bohemy w końcu wieku XIX. Wszystkie kostiumy – tych postaci oraz Amelii i Lutka – są wytarte, poplamione, tu i ówdzie podarte. Scenografia w tonacji szarobiałej. Wszystko – meble, ubrania, twarze – jest szarobiałe, przysypane kurzem, pyłem i dopiero w trzecim akcie inną, jaskrawszą może przybrać barwę. Świta. Pieją koguty. Porucznik gasi świeczkę, która paliła się na stoliku.

PORUCZNIK

Koguty już pieją.

JENERAŁ

A niech sobie pieją. A ja tę damę dzwonkową tym królem żołędnym.

PORUCZNIK

A ja tego króla żołędnego tym oto dzwonkowym.

JENERAŁ

A ja go, poruczniku, tym królem czerwiennym.

KAMIL

A ja tego króla trójką.

JENERAŁ

Trójka króla nie bierze.

KAMIL

Jakże to nie bierze? To trójka dzwonkowa, więc króla czerwienego bierze.

JENERAŁ

Nie umiesz pan grać w wista.

PORUCZNIK

Przy kartach trzeba myśleć. Ale pan, panie Kamilu, nie karty masz w głowie, a jakieś fiołki, słowiki, strumyki. Pewnie poema nowe nam układasz.

KAMIL

A owszem, układam.

JENERAŁ

To może byś nam pan coś zadeklamował?

KAMIL

I tak pan nic nie pojmiesz.

JENERAŁ

Z wierszy pańskich, to prawda, mało co pojmuję. Ale hrabina, zdaje się, lubi te pańskie poemata. I wszystko pojmuję, co, panie Kamilku? Nasza hrabina na wiersze łąsa, strasznie łąsa... Kiedy pan jej to nowe poema przeczytasz, pewnie ci pozwoli pocałować skraj szala... a może i kolanko pozwoli popieścić... Albo i na co więcej pozwoli?

KAMIL

Jak pan śmie!

PORUCZNIK

Grajmy, panowie.

JENERAŁ

Jakże grać z takim, co trójką króla bije?

PORUCZNIK

To może byśmy gdzieś na spacer poszli? Może na cmentarz? Nazbieramy pierwiosnków, pan Kamil mógłby upleść z nich wianek dla naszej hrabiny.

KAMIL

Panie!

JENERAŁ

Co się pan tak denerwujesz, drogi Kamilku? Przecież wszyscy wiedzą, że pan się kocha w naszej drogiej Amelii.

KAMIL

Pan też się w niej kochasz.

JENERAŁ

Kiedyś, nie przeczę, kochałem się w niej. Ale kiedy umarła, zrobiła się, wybaczy pan, po prostu nieznośna. Kazała mi godzinami klęczeć przy katafalku... a potem, kiedy odwiedzałem ją na cmentarzu, czytywała mi ten pański poemat o duchu dziejów.

KAMIL

O dziejach ducha.

JENERAŁ

Wszystko jedno. Musiałem słuchać, też na klęczkach. Deszcz padał, bo oboje zmarliśmy jesienią. Stąd ta moja pedogra.

KAMIL

Obraża pan hrabinę, jenerale, bo pokazała panu drzwi... nie chciała leżeć z panem pod jedną płytą... wzgardziła pańskimi żołdackimi zalotami...

JENERAŁ

Wzgardzić, to nie wzgardziła. Była przecież moją kochanką. Dawno temu, jeszcze za życia, ale była. Te rączki, te ramiona, te cycuszki... a, słodka. Wtedy, nie przeczę, słodka to była osobka. Nie chodziła jeszcze w czerni. Rozbierałem ją z białych jedwabii, ze śnieżnych tiuli... Ot, rozmarzył się stary...

KAMIL

Pan kłamie. Nigdy nie była pańską kochanką.

JENERAŁ

Była. I porucznika kochanką też była. Wszyscy z nią spali. Tylko pan jeden, Kamilu, pan jeden z nią nie spał.

KAMIL

Ja pana wyzwę. Ja pana wyzywam. Panie poruczniku, zechcesz pan być moim sekundantem.

JENERAŁ

A ja się z panem strzelać nie myślę. Już raz pana kazałem rozstrzelać za spiskowanie przeciwko legalnie wybranej władzy i po raz drugi zabijać pana nie zamierzam.

KAMIL

Kazał pan mnie rozstrzelać? To także kłamstwo. Sam się zastrzeliłem. W trzydziestym trzecim, w Paryżu. Strzeliłem sobie w usta, kiedy Amelia...

JENERAŁ

Kiedy powiedziała: nie. Ale wydaje mi się, że pan się mylisz. Kazałem pana postawić pod ścianką. A może zastrzeliłem pana w pojedynku? Tak dawno to już było... Mało co pamiętam...

PORUCZNIK

Grajmy, panowie. Albo chodźmy na spacer, upleciemy ten wianek dla pani Amelii.

KAMIL

Nie będę z żołdatami zbierał kwiatków do wianka.

PORUCZNIK

To co pan będziesz robił? Nudno tu diabelnie. A jeszcze cała wieczność przed nami. A może byśmy kogoś postraszyli? Co pan na to, jenerale? Lubi pan przecież straszyć, no, panie Kamilu?

JENERAŁ

A kogóż tu straszyć, drogi poruczniku?

PORUCZNIK

A choćby i tych chłopów, którzy piją w karczynie. Albo te dziewczynki, które w lesie zbierają jagody.

JENERAŁ

Ci chłopci, sam pan to wie, śmieją się z nas, kiedy nocą zakradamy się do karczmy, chcąc ich postraszyć. A te dzieci, co zbierają jagódki i maliny w lesie, nawet już nie uciekają na nasz widok i tylko krzyczą: „O, patrzcie, upiór idzie, upiór”. Gdyby choć poczęstowały maliną z kobiałki... Kiedyś częstowały...

PORUCZNIK

Pozawzoraj udało mi się postraszyć dziewczynę, która ścinała bez na naszym cmentarzu. Wskoczyłem zza krzaka, a ona właśnie układała bukiet z białych kiści... ot i tyle.

JENERAŁ

No i co? Mów pan. Przestraszyła się?

PORUCZNIK

Dała mi w pysk tym bukietem.

JENERAŁ

A to przykre. Nikt nas się już nie boi.

KAMIL

A dlaczegoż to mają się nas bać? Powinni nas szanować, kochać... za to wszystko, co dla nich uczyniliśmy... wówczas, w tamtym życiu...

JENERAŁ

Masz pan rację, panie Kamilu. Powinni nas kochać. Ale i bać się powinni. Kto się boi, ten kocha. A kto się bać nie będzie, ten i kochać nie będzie.

KAMIL

Żołdacka to logika.

JENERAŁ

Niech będzie, żołdacka. Ale tak to już jest na tym i na tamtym świecie. Lud nasz przymuszać trzeba do miłości dla tych, co żyli przed laty, do szacunku dla tego, co niegdyś bywało, bo jak się ludu nie przymusi, to on o nas całkiem zapomni. A gdy lud o nas zapomni, to i my zmarniejemy, i ten lud zmarnieje.

PORUCZNIK

To może by tak... Bo nudno tu okropnie... Ciągle w tego wista różniemy... nudna gra... więc gdyby...

JENERAŁ

Co pan masz na myśli, poruczniku?

PORUCZNIK

Jakieś gardziółko... albo jakieś białe łono....

JENERAŁ

Dziewczęce lub dziecięce, co, mój poruczniku?

PORUCZNIK

Gdyby tak wbić zęby...

KAMIL

To wstrętne. Jeśli chcemy, żeby nas kochano...

PORUCZNIK

Gdyby tak wyssać krew...

KAMIL

Ohyda. Jak panu nie wstyd, panie poruczniku? Kiedyś za ten lud gotów pan byłeś krew przelewać i wiem, przelewałeś, a teraz chciałbyś wbić te upiorne kły w gardło tego ludu?

PORUCZNIK

Jeden albo dwa takie wypadki... no, może kilka... a ludzie zaczęliby o nas znowu mówić. Znowu by się nas bano. A co najważniejsze, życie nasze ciekawsze by się stało, barwniejsze... bo krwią zabarwione...

JENERAŁ

Ale czyje gardziolko masz pan na uwadze, drogi poruczniku? Czyje białe łono? Nie będziemy się przecież zakradać do wiejskich chałup i nie będziemy dręczyli po nocach tych chłopków, którzy w karczmie tańczą obertasa. Mają oni swoje, chłopskie zmory. Więc w czyją to krtań powinniśmy wbić zęby? Trzeba by tę kwestię rozważyć... kto ma paść ofiarą...

KAMIL

Nie mówi pan chyba tego serio, jenerale? Ja w każdym razie udziału w tym nie wezmę.

PORUCZNIK

Nikt też pana, panie Kamilu, do tego nie namawia. Nie bierzemy pana pod uwagę.

JENERAŁ

Nasz drogi profesor – czy pamięta pan, poruczniku? – nasz drogi profesor twierdził, że pewne jego badania i eksperymenty zdają się wskazywać...

PORUCZNIK

Tak, pamiętam. Twierdził, że upiór, który opije się krwią – najlepiej krwią dziewczęcą, niewinną, panieńską, ale może to być także krew jakiegoś młodzieńca – zmienia konsystencję, porzuca, może porzucić, upiorną powłokę, w której, pokutując, włóczy się po świecie, i kształt dawny przybiera... to jest przybrać może...

JENERAŁ

Czyli może ożyć. Czyli wraca do życia, gdy się krwią opije.

PORUCZNIK

Ale profesor nie był tego pewien. Brakowało mu jeszcze pewnych danych, nie wszystkie, o ile dobrze pamiętam, doświadczenia potwierdzały jego hipotezę.

JENERAŁ

Tak czy inaczej, wzbudzilibyśmy strach: znowu by się nas lękano, czyli znowu by nas szanowano i kochano. A jeśli profesor się nie mylił, jeśli nie popełnił jakiegoś błędu, przeprowadzając te eksperymenty, to kto wie...

KAMIL

Pan bredzi, jenerale. Pan chciałby...

JENERAŁ

A któż by nie chciał, panie Kamilu, któż by nie chciał? Życ jeszcze raz... jeszcze raz oddychać, czuć, marzyć... zrzucić ten mundur spleśniały i oblec tamten mundur, noszony przed laty... któż by nie chciał...

KAMIL

Ja bym nie chciał.

JENERAŁ

Bo pan jesteś poetą.

KAMIL

Cóż to ma do rzeczy?

JENERAŁ

Oczywiście, że ma. Jesteś pan poetą, a więc osobnikiem pozbawionym woli życia. Nie zaprzeczaj, Kamilku. Przecież widzę,

każdy to widzi: ciągle tylko ziewasz, wzdychasz, płaczesz gdzieś po kątach, a na żaden czyn, ale taki czyn, co życiowym czynem mógłby być nazwany, już cię nie stać. Nawet naszej hrabiny nie zdołałeś osiąść. Nie ma w tobie tego życiowego pędu, tego porywu, który zmarłego może przymusić do życia. Dlatego umarłeś ostatecznie i bezapelacyjnie. A i nie widać powodu, dla którego miałbyś ożyć.

KAMIL

A pan to co czyni, drogi jenerale? Któryż to z pańskich pośmiertnych czynów życiowym czynem może być nazwany? Też pan płaczesz po kątach. Wszyscy o tym wiemy.

JENERAŁ

A tak, płaczę. Ze złości płaczę. Płaczę, bo chcę ożyć i złości mnie okrutnie, że ożyć nie mogę. Ale przekonasz się pan: ja jeszcze ożyję. Ożyję, bo jest we mnie ten pęd, ten poryw, ta chęć, która mnie, umarłego, niemal żywym czyni. Już tego dnia, kiedy wieziono mnie na lawecie przez Aleje, powiedziałem sobie: to jeszcze nie koniec. Historia potrzebuje cię, Józefie, bo służyłeś historii, a kto służy historii, choćby i umarł, całkiem nie umiera. Śmierci nie ma, panowie, jak powiedział ten tam poeta. Ale nie pan, Kamilu. Pana nie byłoby stać na takie wzniosłe słowa.

PORUCZNIK

Chyba jednak trochę pan przesadza, panie jenerale. Mundur znów mi zapleśniał. Szwy pękają. Trzeba by zacerować...

JENERAŁ

A tak, śmierci nie ma. Niech pan spojrzy, panie Kamilu, na tego tam Walka. Słyszysz pan, jak on chrapie? Jak jęczy przez sen? A wie pan, co mu się śni? Życie mu się śni. Jakaś dziewczyna, z którą kotłuje się w krzakach. Albo jakiś dziedzic, który bije go po pysku... którego on bije po pysku. To upiór chłopski, prymitywny, nieposiadający ideologii, która mogłaby go zaktywizować... wydawałoby się, że powinno mu być wszystko jedno... umarł, no to umarł... a jak on rwie się do życia, jak się czepia życia. Ten Walek, ja to panu powiadam, rychło już ożyje. I ja też ożyję. Ożyję, bo jestem potrzebny. Bo mam po co żyć. Tyle

jeszcze jest do zrobienia w naszym życiu: i w tym, i w tamtym.
O, mam po co żyć.

KAMIL

Gadasz pan głupstwa, jenerale. Nikt z nas nigdy nie ożyje.
Gdyby wycisnąć z naszych serc i żył wszystką krew, która tam
jeszcze pozostała, to może by się zebrało kilka kropel... może
jeden kielich... kielich goryczy...

JENERAŁ

Otóż to. O ten kielich chodzi... O ten kielich, z którego mogli-
byśmy się napić... do syta... A jak się napijemy, to będziemy
żyli, no nie, Walek?

Walek budzi się.

WALEK

Jak jaśnie pan rozkaże.

JENERAŁ

Bo w tobie też jest ta chęć.

WALEK

Chęci to mi nie brak, jaśnie panie.

JENERAŁ

Lubię takich chętnych chłopców. Byłby z ciebie dobry żołdat,
Walek. Gdybyś dzielnie stawał, to może i na feldfebla bym cię
awansował.

WALEK

A ja to bym jaśnie pana...

JENERAŁ

Kosą albo siekierą, co, Waluś? Albo powiesiłbyś mnie za żebro
w chlewiku.

WALEK

A powiesiłbym. Między wieprzkami. Wieprzki, kiedy głodne,
to człowieka na strzepy potrafią rozderzeć.

JENERAŁ

Albo okręciłbyś mnie słomą, oblałbyś mnie smołą i podpalił,
co? I pognąłbyś mnie przez wioskę... jak żagiew płonąca. Tak
jak ja twój dziadka kiedyś gnać kazałem.

WALEK

A podpaliłbym. Wszystko bym podpalił. Jaśnie pana, ten dwór, wszystko... Kiedyś podpalę...

JENERAŁ

Nie podpalisz, Walek. Nie podpalisz, bo już wiesz, co robią z takimi, którzy podpalają.

WALEK

Zakatowali. Na śmierć zakatowali.

JENERAŁ

I jeśli znów podpalisz, to znów zakatują. Pamiętaj, każę zakatować.

KAMIL

Niechże już pan się przestanie znęcać nad tym biednym chłopcem.

JENERAŁ

Ja się nad nim znęcam? To on się nade mną znęca, przypominając mi o tym swoim dziadku, którego puściłem z dymem.

KAMIL

To pan ciągle mówi o tym dziadku, nie on.

JENERAŁ

Ale on tu ciągle się kręci. Taki podobny do tego swojego dziadka. A może ty jesteś swoim dziadkiem, Waluś? Może ja ciebie kazałem podpalić?

KAMIL

Nie zdziwiłbym się, gdyby on naprawdę kiedyś powiesił pana za żebro w chlewiku.

JENERAŁ

Walek miałby mnie powiesić? Ależ on mnie kocha.

KAMIL

Nienawidzi pana. Ja też pana nienawidzę.

JENERAŁ

Kocha mnie, bo się mnie boi. Kochasz mnie, Walek?

WALEK

To już jak jaśnie pan sobie życzy.

JENERAŁ

A boisz się mnie, Walek?

WALEK

To już wedle jaśnie pana woli.

KAMIL

Może pan go jeszcze każesz wychłostać kańczugiem? Sadysta jakiś. Nie mogę na to patrzeć. A ty, Walek, też mógłbyś przestać tu się kręcić. Czego ty tu szukasz? Poszedłbyś do wioski, tam w karczmie chłopskie upiory na skrzypczkach grają, kujawiaka tańczą. Lepiej byś się czuł między swoimi. Po co ty między nas się pchasz?

PORUCZNIK

Chce się pan pozbyć rywala, panie Kamilu?

JENERAŁ

Wątpię, żeby to się panu udało. Nasza hrabina wyraźnie sprzyja Walkowi. Małe są przy nim twe szanse, poeto.

KAMIL

Wypraszam sobie...

JENERAŁ

Całowałaś ty się kiedy z hrabiną, Walek?

KAMIL

Idiotyczne pytanie. Hrabina nigdy by z takim chamem... nigdy by nie pozwoliła takiemu hultajowi...

WALEK

Od hrabiny to wam, jaśnie pany, wara. Ona moja, nie wasza. Czarnooczka moja... Gdyby nie wy, jaśnie pany, to ona by jeszcze żyła. Wyście ją zdręczyli, do grobu złożyli... a i po śmierci jeszcze ją dręczycie. Ale już niedługo waszego tutaj balowania. Ja z czarnooczką moją w świat daleki pójde... A wy, jaśni panicze, gnijcie sobie w błocie... deszcz wam oczy wyje.

JENERAŁ

Ty coś wiesz, Walek.

WALEK

A wiem.

JENERAŁ

Gadaj.

WALEK

Ten dwór sprzedany.

JENERAŁ

Łżesz.

WALEK

Jej Bohu, sprzedany.

PORUCZNIK

Ja w to nie wierzę. Któż by taką ruinę chciał kupić? Grzyb na ścianach, wiązania spróchniałe...

KAMIL

Może na rozbiórkę kupili? Bo i czas najwyższy, żeby to wszystko rozebrać, coś nowego postawić. Skąd ty to wiesz, Walek, że ten dwór sprzedany?

WALEK

Chłopi w karczmie mówili. Schowałem się w chaszczach pod oknem i podsłuchiwałem. Przed Wielkanocą, mówili, w Pułtuskusku licytacja była. Ten, co kupił, mówili, za ziemię i dwór dwieście tysięcy rubli, mówili, zapłacił. No to wy, jaśnie pany, pójdziecie stąd precz.

PORUCZNIK

Ale kto kupił?

WALEK

Tego nie mówili.

JENERAŁ

Niedobra to wiadomość, moi panowie. Jeśli dwór sprzedano, to co będzie z nami?

KAMIL

Cóż, wrócimy na cmentarz.

PORUCZNIK

A w wista gdzie będziemy grali?

JENERAŁ

Panu, panie Kamilu, w pana wieku łatwo mówić: wrócimy... Ale ja, z moją pedogrą... a diablo mnie łupie.

KAMIL

A ja nawet się cieszę. Teraz wiosna, noce coraz cieplejsze, wkrótce drzewa okryją się kwieciami. Nawet, muszę panom wyznać, tęskniłem, żyjąc w tym zmurszałym dworze, do mojego szerniego ze starości krzyża, do tych stokrotek, co łebki białoróżowe wysuwają z darni. Będziemy słuchać śpiewu słowików, fiołki i dziewanny będą nam słodko pachniały w przedwieczornej porze.

PORUCZNIK

Pan masz tylko fiołki i słowiki w głowie. A o hrabinie pan pomyślałeś? Sam pan wiesz, jak jej szkodzą zmiany atmosferyczne.

WALEK

Cmentarz, mówili w karczmie, będzie zaorany. Ten, co kupił, kazał zaorać. Jak dwadzieścia lat minie, mówili, od pochowania ostatniego nieboszczyka, to wszystkie nieboszczyki mają się wynosić.

Wchodzi Profesor z Panią Docent. Profesor ubrany jest tak, jak ubierali się wielcy ojcowie naszej humanistyki w końcu XIX wieku: czarny żakiet, spodnie w prążki, złote binokle; brzuchaty, siwobrody. Pani Docent ubrana współcześnie, wielokolorowa, w szarfach, falbanach, dekoltach; fru, fru, ale już niemłoda, po czterdziestce.

PROFESOR

Proszę notować, pani docent. Aktywność upiórów zamieszkujących nasze pola i lasy poddana jest, jak wykazały prowadzone przez nas badania, rytmowi biologicznemu, czyli, mówiąc inaczej, zmienia się i pulsuje zgodnie z rytmem natury. Jak wszelka aktywność, zależna jest więc od pory roku, wilgotności powietrza i pory dnia. W ostatnich jednak latach, a szczególnie w ostatnich miesiącach, w zachowaniu naszych upiórów dały się zauważyć wyraźne zmiany. Potąd, na co zwracali już uwagę w swoich fundamentalnych dziełach profesorowie Tretiak i Feldman, mieszkające w naszym kraju upiory spały w dzień, a straszły w nocy, między godziną dwudziestą czwartą a trzecią

rano, kiedy to w chłopskich obejściach budzą się koguty. Obecnie badane przez nas upiory nie znikają już, gdy zapieje trzeci kur, i straszają także za dnia, rezygnując ze snu i ograniczając się tylko, jak wolno nam przypuszczać, do poobiedniej drzemki. Ta wzmożona aktywność naszych upiorów wynika zapewne z ich wzrastającej świadomości moralno-politycznej, a także z ich głębokiego zaangażowania i jako taka godna jest najwyższego uznania. Dziękuję, pani docent. Witam panów.

JENERAŁ

Witamy, profesorze. Co tam słychać u żywych?

PROFESOR

Stara bieda. Ale staramy się dorównać. A jak pańska pedogra, drogi jenerale?

JENERAŁ

Dziękuję, łupie mnie. A pańskie badania?

PROFESOR

Posuwamy się, jenerale. Jeszcze tylko kilka eksperymentów i będę mógł oddać moją książkę do druku.

JENERAŁ

No to badaj pan, badaj. Byleś nas pan tylko nie obsmarował w tej książce.

PROFESOR

Zna pan przecież moje poprzednie dzieła, jenerale. I wie pan, z jakim szacunkiem odnoszę się... Wreszcie gdyby nie ja, społeczność nasza niewiele by wiedziała o panów zamierzeniach, przedsięwzięciach... Ale jeśli pan pozwoli, wezmę się do roboty. Chciałbym przebadać Walka. Brak mi jeszcze pewnych danych. Chodź no tu, Walek. Niech pani zmierzy mu czaszkę, pani docent. I policzy zęby.

WALEK

Od moich zębów wara, jasne pany.

PANI DOCENT

Nie opieraj się, Waluś. Nie zrobię ci krzywdy. Niech mi pan pomoże, panie poruczniku. Proszę trzymać za głowę, o tak.

PROFESOR

Proszę go też osłuchać. Stetoskop jest w mojej torbie.

WALEK

Litości, jasna panienko. Puść mnie, ty modliszko.

Walek wyrzywa się Pani Docent i wybiega.

PANI DOCENT

Ugryzł mnie. O tu, w palec. Do krwi.

JENERAŁ

Krew.

PORUCZNIK

Krew krwawiąca.

JENERAŁ

Krew panieńska.

KAMIL

Jak słodko pachnie... jak cmentarne róże...

PROFESOR

Trzeba to zalepić plastrem. Szybko. Żeby nie wywiązało się jakieś zakażenie. Niech mi pan nie przeszkadza, poruczniku. Już. Nic pani nie grozi, pani docent. Walka zbadamy później. Schował się zapewne gdzieś na cmentarzu. Czy wie pan, jenerale, że kiedy badałem go ostatnim razem, wydawało mi się, że słyszę jakieś szmery w okolicy serca?

JENERAŁ

Może i mnie pan posłucha, profesorze? Wydaje mi się, że niekiedy... o tu... jakby coś się ruszało... jakby biło... teraz też... to ta krew...

PROFESOR

Pan wciąż się łudzi, drogi jenerale?

JENERAŁ

Sam pan kiedyś mówił, że to nasze pokutne bytowanie nie musi trwać wiecznie... że pewne pańskie badania, pewne doświadczenia wskazują... że ten, kto się napije...

PROFESOR

A tak, pamiętam. Ale to tylko hipoteza, jenerale. Niesprawdzona hipoteza.

JENERAŁ

Taką hipotezę warto by chyba sprawdzić. A gdyby taka hipoteza potwierdziła się, gdyby udało się ją panu udowodnić... Wyobraża pan to sobie? Stałby się pan uczonym światowej sławy...

KAMIL

Mam nadzieję, profesorze, że nie będziesz pan usiłował udowodnić tej idiotycznej hipotezy. Byłby to czyn niecny, niegodny uczciwego naukowca.

JENERAŁ

Nie moralizuj, poeto. Tu chodzi o przyszłość naszej nauki.

PANI DOCENT

Każda hipoteza, która została postawiona, powinna zostać udowodniona.

JENERAŁ

Byłaby zapewne niebawem po temu okazja. Ten dwór został podobno sprzedany i ktoś, kto go kupił, rychło tu się chyba wprowadzi.

PROFESOR

Dwór został sprzedany? A gdzież ja będę prowadził moje badania?

PANI DOCENT

Jeśli dwór został sprzedany, to moglibyśmy, panie profesorze, zrezygnować chwilowo z badania czaszek i ideologii upiorów i rozpocząć badania nad współzyciem upiorów z żywymi.

PROFESOR

Tak też postąpimy. Będziemy badać modele i strukturę współzycia.

KAMIL

Wątpię. Wyprowadzamy się stąd.

PORUCZNIK

Ja się nie wyprowadzam.

JENERAŁ

Ja też nie.

Wchodzi Lutek. Ubrany jest tak, jak ubierali się młodzi ludzie ponad ćwierć wieku temu, ale bardzo skromnie, a ten biedny garniturek,

*który ma na sobie, też jest zszarzały, przysypany kurzem, wymięty.
W butonierce nosi biały goździk.*

PANI DOCENT

Niechże pan spojrzy, panie profesorze. Tam, w drzwiach... Jakiś nowy upiór.

PROFESOR

A to ciekawe. Niech pani zwróci uwagę na ten krój spodni, na te włosy. Takiego jeszcze nigdy nie widziałem. Strzyże się na jeża... To chyba jakiś amerykański upiór. Ale skąd tutaj?

LUTEK

Co to za facet, jenerale? Kim jesteś, staruszkę?

PANI DOCENT

Czuję, profesorze, że jesteśmy w przededniu... że odkryjemy, że już odkryliśmy... Jeśli to jest jakiś nowy, nieznaną gatunek upiorów... amerykańskich upiorów... O, cóż to za fascynujący temat: międzykontynentalne wędrówki upiorów.

JENERAŁ

To nasz profesor, panie Lutku. Nasz drogi profesor. Prowadzi tu badania, opisuje nasze obyczaje. Wybitny specjalista od życia pozagrobowego. A panu, profesorze, nie radzę się do niego zbliżać. Pan Lutek jest bardzo nerwowy. Przybłąkał się tu niedawno, jeszcze się nie oswoił. Mógłby panu zrobić krzywdę.

PROFESOR

Nie było jeszcze upiora, który by się ośmielił... Mam ja swoje sposoby. Siadaj pan tu, na tym fotelu. Zmierzymy panu ciśnienie, dokonamy pomiarów.

LUTEK

Jeszcze czego. But mi się rozlaź... Trzeba by do szewca... Ktoś z panów nie wybiera się do wioski?

PANI DOCENT

Ależ my musimy pana przebadać. Dokonałiśmy odkrycia i musimy je opisać, udokumentować. Zaklinam cię, upiorze, dla dobra ludzkości... pozwolisz mi się zmierzyć...

JENERAŁ

Pani zaklęcia na nic się nie zdadzą. Pan Lutek gardzi ludzkością. To nihilista. Gorzej nawet, to jakiś syndykalista, anarchista.

LUTEK

Myli się pan. Nie jestem nihilistą. Nihilista to ktoś, kto nie ma żadnych poglądów, ktoś, komu nie przyświeca żadna idea, człowiek godny pogardy, bo bezideowy. Zna pan moje poglądy, moje idee... Ale jeśli pan sobie życzy, mogę...

JENERAŁ

A dajże mi spokój, młokosie. Jestem starym człowiekiem i wiem, ile są warte poglądy. Ty masz duszę nihilisty. Kto w wojsku służył, ten się zna na ludziach.

LUTEK

Niech panu będzie. Nie zamierzam pana uświadamiać. A pan niech mnie nie zachodzi od tyłu. Nie pozwolę się zmierzyć, jasne?

PROFESOR

Proszę o chloroform, pani docent.

LUTEK

Tylko nie to. Pan bada upiory, tak? No to nic panu do mnie. Nie widzi pan, że ja żyję?

PROFESOR

Ciekawy fenomen pośmiertnego zafalszowania świadomości. Niech pani zwróci uwagę, pani Haniu. Świadomość upiora pod wpływem przeżyć związanych z utratą świadomości nie przyjmuje do wiadomości stanu faktycznego. Rodzaj upiornej paranoi. A więc pan nie umarł?

LUTEK

Umarłem, jasne, że umarłem. Temu nie przeczę. Ale choć umarłem, żyję nadal. Wie pan, co to jest życie?

PROFESOR

Pytanie, owszem, interesujące. Niech pani notuje.

LUTEK

Życie, profesorze, jest zespołem idei, zbiorem idei. Takich i innych, różnych, mniejsza o to jakich. Te idee, koledzy, ścierają

się ze sobą, walczą ze sobą, idee słuszne znajdują się w natarciu, idee niesłuszne w odwrocie, i te starcia, natarcia, ta nieustanna walka idei o byt idei... oto czym jest życie. Czy słyszeliście kiedyś, koleżanko, o Hegłowskiej triadzie? Nie? No to jeszcze usłyszycie. Kontynuuję. Jeśli życie jest starciem idei, które się ścierają, życie może istnieć tylko w świecie, w którym istnieją idee. Świat bez idei jest światem umarłych i jest skazany na śmierć. Kto ma ideę, koledzy, ten żyje. Kto nie ma, ten nie żyje. (*Lutek ślania się, jakby za chwilę miał zemdleć*) Te upiory, te bezideowe upiory niemające już żadnej idei... od dawna, żadnej... nieżyjące od dawna... nie ożyją, bo nie mają... nigdy... ale ja... z moimi ideami... ja mam... bo moja idea... (*mdleje*)

JENERAŁ

Nic z tego nie pojmuję. Czy ta triada, profesorze, jest w odwrocie, czy w natarciu?

KAMIL

Jakież to prostackie. Te wonie, te świergoty słowicze, skowrończe, te wylewy ducha nazywać starciem w jakiejś triadzie...

PROFESOR

To jednak nie paranoja. Raczej cyklofrenia. Spotkałem już kiedyś upiora z podobnymi objawami. Jednego dnia zapewniał mnie, że żyje i będzie żył wiecznie, następnego ledwie dosłyszalnym szeptem wyznawał, że zgnił do szczytu i nigdy nie wstanie już z trumny. Euforia następowała po depresji, depresja po euforii. I tak to się cyklicznie powtarzało: to umierał, to znów ożywał. W rzeczywistości był to zwykły upiór, zmarły jak należy i pogrzebany jak należy.

Wchodzi Walek.

WALEK

Już są. Tam są. Chodzą sobie naokoło klombu, z Abramkiem gadają.

PROFESOR

A oto i nasz Waluś. Niech pani zmierzy mu czaszkę, pani docent.

PANI DOCENT

Ugryzłeś mnie w paluszek, niegrzeczny ty... Przeprós.

WALEK

Ale oni, tam... Już przyjechali, są...

JENERAŁ

Kto przyjechał?

WALEK

Ci, co kupili. Taki jasny panicz z taką jasną panienką. Ona śliczna, bielusiańska. A on z harapem. I tak smaga, tak smaga... po pokrzywach, po chwastach... Ścina, co pod ręką... Uch, jak on smaga... Zapłaczenie wy, jasne pany, kiedy smagać zacznie.

LUTEK

Któż to przyjechał? Co ty wygadujesz, Waluś?

PORUCZNIK

To nowi właściciele tego dworu, panie Lutku.

WALEK

Abramek przywiózł ich bryczką z Pułtuska. Chłopi w karczmie mówili, że to on, ten Abramek, dwór odziedziczył i na licytację w Pułtusku wystawił.

KAMIL

Trzeba się zbierać. Przeniosę się na cmentarz. Albo do dąbrowy. Słowik tam śpiewa, słowiczkę czule przywabia.

JENERAŁ

Co robimy, poruczniku? Przenosimy się? Czy zostajemy? Trzeba się na coś zdecydować. Ale na co?

PORUCZNIK

Pan nigdy nie umiałeś podjąć decyzji. Kiedy lud nasz na ulicach krzyczał: „Bądź nam dyktatorem!”, też mnie za rękaw szarpałeś, pytając, co robić.

JENERAŁ

No więc co pan radzisz?

PORUCZNIK

Pan jesteś wyższy rangą. Kiedy wybije moja godzina, ja się pana o radę pytałem nie będę.

JENERAŁ

A więc zostajemy. Powinniśmy dać profesorowi szansę udowodnienia tej hipotezy... Ale jeśli ten tam z tym harapem... jeśli będzie smagał...

WALEK

Wysmaga on cię, jaśnie panie. Na śmierć zakatuje.

PROFESOR

Chodźmy, pani docent. Jeśli chcemy przebadać strukturę współzycia, ci nowi właściciele nie powinni nas tu zastać razem z tymi upiorami. Mogłoby ich to niechętnie usposobić...

LUTEK

Chwileczkę, panie profesorze. Jeśli ktoś, jak rozumiem, kupił ten dwór i zamierza się tu wprowadzić, powinien pan chyba wystąpić w naszym imieniu. Można by, myślę, skłonić tych ludzi do zrezygnowania z zamiaru osiedlenia się tutaj. Pański instytut mógłby odkupić tę rudę, założyć tu rezerwat...

PROFESOR

Na to nie mamy funduszy. Nie zależy mi zresztą na zamknięciu panów w rezerwacie. Nie moglibyśmy wówczas badać struktury współzycia.

JENERAŁ

Chcesz pan nas opuścić, profesorze? W takiej chwili, którą słusznie krytyczną chwilą naszego życia można nazwać? Czyżby morale naukowców naszych...

PROFESOR

Niech się pan nie lęka, jenerale. Wystąpię w państwa imieniu, oczywiście, że wystąpię. Ale nie w tej chwili. Teraz, jak myślę, powinni się państwo gdzie ukryć, pochować... gdzieś po kątach, pod łózkami, w łózkach... Ci ludzie mogą się przestraszyć, i to bardzo przestraszyć, gdy was tutaj zastaną. Pojmijcie to, moje dzieci. Mogą odjechać. A jeśli odjadą, to nigdy tu już nie wrócą.

LUTEK

O to właśnie chodzi: żeby się stąd wynieśli. Cóż nam po nich? My mamy swoje życie, oni swoje.

PROFESOR

Chodzi o coś całkiem innego. Oni powinni się stopniowo przyzwyczaić, powoli oswoić...

Porucznik przeciera szybę i usiłuje coś dostrzec przez okno.

PORUCZNIK

Walek miał rację. Rzeczywiście jest śliczna. Niech się pan nie pcha, panie Kamilu. Jeszcze się pan napatrzy.

JENERAŁ (*stając za Porucznikiem*)

Rozkoszna osóbką. Jak to nosi główkę, jak to oczkiem strzyże. Chętnie bym ją rozebrał z tych atlasów. Ech, zachciało się staremu. No to co, poruczniku? Chyba jednak zostaniemy tutaj?

PORUCZNIK

Jak dla mnie, trochę za chuda. Wolę takie pulchniejsze... wie pan, jenerale, takie, żeby tak strzelało, kiedy się naciśnie.

LUTEK

To ona... ona tutaj... ktoś by przypuszczał... jakże się zmieniła...

KAMIL

Nie lubię blondynek.

PORUCZNIK

Idą tutaj.

PROFESOR

Szybciej, dzieci. Do łóżek, pod łóżka. Ty też, Walek. No, fruwać stąd, już. Schowaj się w chlewiku. Niech pani zabierze nasze instrumenty, pani docent. Chodźmy.

Profesor i Pani Docent wychodzą.

KAMIL

Ja idę spać.

JENERAŁ

Też bym się przespał. Toż to już dziewiąta. Ale chyba nie zasnę. Ma pan relanium, panie poruczniku?

PORUCZNIK

Służę, jenerale.

Jenerał, Porucznik, Kamil i Lutek wychodzą. Ostatni wychodzi Walek.

WALEK

Jak to on smaga... Zapłaczenie wy krwawymi łzami, jasne pany.
Będą wam krwawe ślęzy ciekły po jasnych obliczach.

Scena przez dłuższą chwilę jest pusta. Wchodzą Basia i Abramek. Basia ubrana jest na biało: biała suknia, białe pończochy, białe pantofelki, białe rękawiczki. Tylko jeden akcent kolorystyczny: biały kapelusz Basi przybrany jest purpurowymi, pąsowymi jak krew różami. Abramek w chałacie i jarmułce, z pejsami.

ABRAMEK

Nu, czy ja nie mówiłem jaśnie pani, że to piękny dwór? Będzie tu miała jaśnie pani rarytne życie. Jaśnie wielmożny małżonek mówił, że tu grzyb na ścianach. A gdzie tu grzyb, jaki grzyb? Nu, czy to jest grzyb? Podgrzybek jakiś...

BASIA

Idź już, mój Abramku. Dajże mi się nacieszyć...

ABRAMEK

Kłaniam się jaśnie pani. A jakby jaśnie pani czego potrzebowała, to proszę po mnie posłać. Ja chętnie przyjadę, przywiozę. Mam piękny plusz na fotele, taki purpurowy... Może być i na kotary... Ja jestem uczciwy Żyd, kto ze mną w interesa wejdzie, ten nie straci.

BASIA

Idźże już sobie, Abramku.

ABRAMEK

Ten plusz po dwa ruble za łokieć. To taki plusz, że i na ołtarz by się nadał, i do trumny... A jakby wielmożny małżonek chciał kupić flintę, to też mogę przywieźć. I pozwolenie na broń wyrobię. Referentowi w ziemstwie trzeba dać pięć rubli.

BASIA

A na cóż nam jakaś flinta?

ABRAMEK

Nu, skąd ja mogę wiedzieć na co? Może na zające, a może na co innego? Ja jestem prosty Żyd, ja nic nie pojmuję. Ale taka flinta to zawsze się przyda.

BASIA

Żadnej flinty nam nie trzeba. Mój mąż nie będzie polować. Nie lubię widoku krwi. Nie pozwolę mu strzelać do tych biednych zajęczków.

ABRAMEK

Nu, to już jak sobie pani dziedziczka życzy. Tę flintę to ja i za darmo bym oddał. Bo choć ja jestem Żyd, to serce mam polskie. Polski interes to jest mój interes. Nu, to chyba słyhać, że ono po polsku bije... o tu... tu jest Polska właśnie. Ale mnie to się jeszcze należy trzy ruble.

BASIA

A za cóż to, Abramku? Zapłaciliśmy ci za ten dwór dwieście tysięcy. To chyba wystarczy?

ABRAMEK

Ale ja jaśnie państwa z Pułtuska przywiozłem, to mi się należy trzy ruble. Konie też chcą jeść.

BASIA

Oto i twoje trzy ruble, Żydzie.

ABRAMEK

Nóżki pani dziedziczce całuję. A tę flintę to ja jaśnie wielmożnemu panu dziedzicowi sprezentuję. Ja jestem uczciwy tutejszy Żyd, Polakowi brat.

Abramek wychodzi.

BASIA

Jaka jestem szczęśliwa, o, jaka szczęśliwa! Nasz dwór, własny dwór. Śniło mi się po nocach, że kupujemy dwór... że mamy dwór... właśnie taki... jak nasi ojcowie, dziadowie... polski dwór, jak Polacy... ile razy śnił mi się ten sen... i budziłam się z płaczem, bo nie było nas stać... tyle lat biedy, polskiej biedy... i znowu śniłam... że zajeżdżamy bryczką, fornale zdejmują czapki, Tadzio wnosi mnie na ganek... Wniósł mnie, mój kochany... a myślałam, że już nigdy... gdyby wujek nie przysłał nam tych dolarów... i kupiliśmy dwór, mamy dwór, mój kochany, wyśniony... będziemy tu żyli... i nasze dzieci, nasze wnuki... tu

jest Polska właśnie... Kocham cię, Tadziu! Słyszysz? Kocham cię, mój najdroższy!

TADZIO (*zza sceny*)

Otwórz okna, Basiu. Straszny tu zaduch wszędzie.

Basia otwiera okno. Dopiero teraz widać stojące tuż za oknem krzyże i nagrobki.

BASIA

Ach!

Wchodzi Tadzio. Ubrany jest jak dziewiętnastowieczny hreczkosiej. Kolory: biały i brązowy. Smaga się harapem po długich butach.

TADZIO

Co ci to, Basiu?

BASIA

Ten cmentarz, Tadziku... tam, za oknem... Dwór stoi na cmentarzu... Jakie to okropne.

TADZIO

Cmentarz, Basieńko, po prostu się rozrósł. W ostatnich latach, kiedy nikt tu nie mieszkał, zaczęto chować zmarłych także i w tym sadzie, bo na wiejskim cmentarzu, który z sadem graniczył, nie było już miejsca. Wiem to od Abramka. Uspokójże się, Basiu. Jesteś już kobietą dojrzałą, właścicielką ziemską, a wzdychasz jak pannica jaka. Chyba mi nie zemdlejesz? Jutro każę zaorać...

BASIA

Jakże to można zaorać taki cmentarz? Przecież tam ludzie leżą.

TADZIO

Ależ można, można. Posadźmy tam czereśnie, jabłonie. Między drzewami będą twoje grządki: z arbusami, z cebulą. No, dość tych westchnień. Zajrzyj raczej do tamtych pokoi, pootwieraj okna. Trzeba wietrzyć, suszyć. Jutro pójde do wioski, zgodzę cieśli, murarzy i zaczniemy remontować, przebudowywać. Tu będzie pokój stołowy, tam nasze sypialnie. Idźże, moja ty pani dziedziczko, zobacz, czy są tam łóżka, w których choćby jedną noc moglibyśmy przespać. (*Basia wychodzi*) Przestraszyła

się moja Basieńka. Bo też trzeba było powiedzieć Abramkowi, żeby cmentarz kazał zaorać przed naszym przyjazdem. Nie będzie miło spać wśród tych nagrobków. Ale co tam. Spałem już w turmie, na słomie, spałem i na śniegu... A dziś we własnym dworze zasną. Dziedzic jestem, pan.

Wchodzi Basia.

BASIA

Tadziu... Tadziku... tam...

Tuż za Basią wchodzi Jenerał.

JENERAŁ

Pan wybaczy. Zdaje się, że przestraszyłem pańską małżonkę. Nie było to moim zamiarem. Nie lękaj się, pani. Moja pozycja w społeczności... jak by to nazwać... w społeczności, która nie jest społecznością żywych, niechże będzie gwarancją, że nie uczynię pani żadnej krzywdy.

TADZIO

Co to znaczy, mój panie? Kimże pan jesteś i skąd się tu wzięłeś? Zechciej się wytłumaczyć.

Wchodzi Porucznik i Kamil.

PORUCZNIK

Chodźże pan, panie Kamilu. Jenerał zdekonspirował się, więc i nam to wypada uczynić.

BASIA

Leżał tam, w łóżku... w takiej szarej pościeli... w gnijącej pościeli... Ach, są i inni.

JENERAŁ

Jestem najstarszy wiekiem i stopniem, mnie więc wypada wyjaśnić naszą tu obecność. Zamieszkaliśmy w tym dworze, bo zima tego roku była szczególnie ciężka. W lutym termometr wskazywał nocą i trzydzieści stopni... pojmij pan, włosy, ubrania przymarzały do desek... nie mogliśmy wytrzymać... tam...

PORUCZNIK

Nie mieliśmy gdzie grać w wista.

JENERAŁ

Pan Kamil... przedstawiam państwu... w tym wojsku duchów, które krąży nad naszym krajem, pan Kamil służy w randze poety... pan Kamil nie miał pulpitu, przy którym mógłby pisać swoje wiersze.

TADZIO

Nie interesują mnie, moi panowie, powody, dla których wdarliście się tu... pojmuję, że bezprawnie... Jak panom wiadomo, nasze przepisy meldunkowe zabraniają... Ten dwór należy do mnie i do mojej żony. Zechcą więc panowie opuścić, i to natychmiast.

BASIA

Tadziu, oni... Spójrz na ich twarze, ręce... To nie są... Oni gniją...

TADZIO

Co też ty, Basieńko? Nie wierzysz chyba w te bajki, opowiadane dzieciom przy kuchennym piecu. Studiowałaś przecież na wydziale chemii, byłaś asystentką w instytucie nawozów sztucznych. Weźże się w garść. Dam ja sobie z nimi radę.

JENERAŁ

Pańska szanowna małżonka nie myli się: jesteście upiorami. To jest zjawami, widmami. Ale widmami głęboko zaangażowanymi we wspólne przedsięwzięcia żywych i umarłych. Proszę się więc nie lękać, nic państwu nie grozi. Szczerze sympatyzujemy, panie Tadeuszu, z pańskim zamiarem wyremontowania, przebudowania... Jesteśmy gotowi współdziałać z panem. Bo rzeczywiście trzeba przewietrzyć, osuszyć...

KAMIL

A ja bym ten dwór zburzył. I zbudował tu coś innego. Jakąś katedrę z powietrza i słowicznych śpiewów. Katedrę ducha naszego...

BASIA

Uciekajmy stąd, Tadziu. Abramek może jeszcze nie odjechał. Chodź. Jeśli to są upiory...

TADZIO

To jest nasz dwór, Basiu. Nasz dwór, a nie ich. Nie mam ja nic, panowie, przeciw naszym zmarłym. I owszem, sympatyzuję...

jak i wy z nami... Ale mam tu mnóstwo roboty i nie będę tracił czasu... I nikt mi nie przeszkodzi, nie pozwolę. Zabierajcie się stąd, i to szybko.

JENERAŁ

Myślałem, że pan szanujesz, doceniasz... że jest w tobie ten duchowy poryw, który nas ożywia...

BASIA

Błagam cię, Tadziu. Jeśli Abramek odjechał, pójdziemy piechotą. To są przecież upiory... To upiorne... A może to i wampiry, upiorne wampiry... Zakradną się w nocy, usiądą na piersi, wbiją kły w gardło... i będą piły... moją krew, naszą krew...

PORUCZNIK

Krew?

JENERAŁ

Krew z białego gardziolka?

PORUCZNIK

Krew z białego łona?

KAMIL

Krew... jak róż krwawe płatki, co na wietrze lecą...

BASIA

Słyszysz, Tadziu? Kupimy inny dwór, w innej okolicy. Może w Poznańskim? Luteranie to ludzie trzeźwi, gospodarni... Czym dalej na zachód, tym upiorów mniej...

TADZIO

Jutro pójdę do wioski, zgodzę dekarzy, bo dach w oficynie przecieka. Sprowadzę księdza, każę poświęcić, wyświęcić... No, moi panowie. Szanuję i doceniam, więc nie zmuszajcie mnie. *(bije się harapem po butach)*

JENERAŁ

Pan mógłbyś?... tego oto poetę?... poetę, którego wierszy pacholeta w wiejskich szkółkach uczą się na pamięć... tego oto porucznika... Czy pan nie poznajesz tej twarzy, tego munduru? Toż to on stał na czele przysiężenia naszych młodych oficerów... Musiałeś

pan słyszeć... Ten mundur błękitny... Jego pułk rozbity był pod Białolęką... On pięć ran tam odniósł...

PORUCZNIK

Siedem, jenerale.

JENERAŁ

A mnie pan nie poznajesz? Przyjrzyj się mojej twarzy, młody barbarzyńco. Musiałeś przecie widzieć jakiś dagerotyp... w „Kłosach”, w „Wędrowcu”, w jakiej książce starej... Może i na pogrzebie byłeś?... Wieźli mnie przez miasto... konik mój ulubiony szedł za lawetą... w werble, w werble bili... Ale tyś za młody, pamiętać nie możesz. Ech, płakać się chce...

BASIA

Tadziu, oni nie tacy źli... Ten staruszek miły... Chyba krwi pić nie będą...

JENERAŁ

Twoja matka nie czytała ci w niedzielne poranki poematów tego to poety? Nie znasz ty ducha dziejów... dziejów ducha?... W jakim duchu tyś wychowany, w jakich dziejach? Ojciec cię na kolana nie brał, o panu jenerale ci nie opowiadał? I ty mógłbyś... nas?

TADZIO

Mógłbym. Choć ojciec mi opowiadał i głęboko poważam. Ale to mój dwór. Roboty tu huk. No już...

Wchodzą Profesor i Pani Docent.

PROFESOR

Niech pani notuje, pani docent. Pierwszym faktem, który udało nam się stwierdzić, kiedy rozpoczęliśmy badania nad strukturą i modelami współżycia, był brak jakichkolwiek konfliktów, które, jak przypuszczaliśmy, mogą wyniknąć przy nieoczekiwanym spotkaniu żywych z upiorami. Od pierwszej chwili stosunki między badanymi przez nas upiorami a żywymi układały się na płaszczyźnie wzajemnego zrozumienia i obopólnej sympatii. Z prawdziwą satysfakcją obserwowaliśmy, jak zawiązują się pierwsze przyjaźnie, które, jak wolno się spodziewać, przemienią

się w niedalekiej przyszłości w uczucia głębsze, mogące osobniki o różnej kondycji połączyć nierozzerwalnymi więzami na całe życie... proszę skreślić: życie, i napisać: na całą wieczność... Podobnie jak pomiędzy upiorami wywodzącymi się z różnych warstw społeczności naszej nie dochodzi nigdy do kontrowersji czy choćby najlżejszych zadrażnień, tak też w stosunkach między żywymi a upiorami pochodzenie społeczne nie odgrywa żadnej roli. Całkowita jedność żywych i upiórów jest faktem, który badania nasze w zupełności potwierdzają.

BASIA

Tadziku, jeszcze jeden upiór. Upiór z upiorzycą.

TADZIO

Patrząc, jak to się mnożą. Zagnieździły się tutaj. Pewnie są i na strychu. Wyłączyć, wszyscy.

PROFESOR

Nie podniecaj się pan. Nie jestem upiorem. Jestem badaczem upiórów. Pani Haneczka jest moją asystentką. Badamy społeczność upiórów... i mamy nadzieję, że nie będziesz nam pan w tym przeszkadzał.

PANI DOCENT

Pan profesor jest autorem „Głównych problemów wiedzy o upiorach”. Musiał pan także czytać „Wstęp do nauki o upiorach”. Rozdział siódmy tego dzieła, zatytułowany „Życie seksualne upiórów”, wyszedł spod mojego pióra.

TADZIO

A badaj pan sobie te swoje upiory, co mnie do tego? Ale nie tutaj.

PROFESOR

A gdzież to, pańskim łaskawym zdaniem, mam prowadzić moje doświadczenia?

TADZIO

To już nie moja rzecz. Ale dobrze, żeś pan tu się zjawił, badaczu upiórów. Ktoś powinien zaopiekować się tymi biedakami. Nie chcę ja ich krzywdy. Zabierz ich pan gdzieś do lasu... lasy tu piękne, podszycie gęste, jest tam pod dostatkiem jagódek, owoców... Kto z nich czego łaknie, pragnie, będzie miał... Głodu

nie zaznają... Tam ich pan będziesz badał... Ja pana bardzo proszę.

PROFESOR

A ja pana bardzo proszę, żebyś mi takich niecnych propozycji więcej nie czynił. Do lasu, na jagódki? A może jeszcze grzyby i chrust mają tam zbierać? Może jeszcze dla pana, co? Żeby panu zoneczka mogła grzyby w śmietanie na obiadek podać? O nie, mój panie. Ja tych moich biednych upiorów wyzyskiwać panu nie pozwolę. Nie będą oni pańskimi fornalami i nie będziesz pan w świecie tych wysokich duchów, tych kolumn świetlistych rządził jak w czworakach. Nie będą ci oni czapkować, dziadziu. Obiad ma być codziennie o czternastej, dla generała śniadanie do łóżka. Dla każdego z moich podopiecznych oddzielna sypialnia. Zmiana pościeli co dwa tygodnie. Czy to jasne?

PORUCZNIK

Chyba pan przesadził, profesorze. Nie ma tu tylu sypialni.

BASIA

Nie mamy tylu zmian bielizny pościelowej. Jeszcześmy się nie dorobili, proszę pana.

KAMIL

Hrabina mówiła mi kiedyś, że w łazience powinna być ciepła woda. Kąpała się dotąd w beczce z deszczówką.

JENERAŁ

Oto i nasi poeci: niby to kwiatki, ptaszki im w głowie, a jak przyjdzie co do czego, okazuje się, że to umysły trzeźwe, praktyczne. (*do Tadzia*) Konika araba będziesz mi pan każdego dnia o szóstej rano pod ganek przyprowadzał. Lubilem ja niegdyś rano sobie pokłusować... kiedy rosa na liściach... za mną adiutanci...

TADZIO

A jeśli tak, to już was tu nie ma. Zjeżdżaj stąd, upiorologu.

PROFESOR

A to niesłychane. Na co to sobie pozwalają ci młodzi. Cóż to cię upoważnia, mój panie, do takiego traktowania ludzi, których zasługi... poświęcenie... czyni... A jakież to są twoje zasługi, robaku? Cóż ty uczyniłeś dla społeczności naszej, dla kraju

naszego? Kimże ty jesteś przy nas, przy tych wzniosłych duchach,
płazie przyziemny?

*Wchodzi Amelia: ubrana na czarno, twarz zasłonięta czarną woalką.
Na czarnym kapeluszu czarne kwiaty.*

AMELIA

A cóż to tu się dzieje? Cóż to za hałasy? Oto jest pańska ankieta,
profesorku. Nie, nie i nie. Nie nakłaniam do grzechu pijanych
parobków. Nie piję i nigdy nie piłam krwi folwarcznych dzieci.
Nie wodzę po moczarach poetów z wiejskiego kółka twórczości
amatorskiej. Ale ty, stary kłamczuchu, i tak napiszesz, że gaszę,
że zawsze gasiłam pragnienie krwią folwarcznych niemowląt.

PROFESOR

Nigdy nie ośmieliłbym się, hrabino, sformułować jakiegokol-
wiek krytycznego sądu o naszych minionych dziejach... dziejach
pani życia... Uważam takie sądy za niedopuszczalne i karygodne.
Obrażają one naszą godność. Obiektywna prawda była zawsze,
uwierz mi, hrabino, moim jedynym celem.

AMELIA

A cóżes to, świntuchu jeden, napisał o mnie w „Głównych proble-
mach wiedzy o upiiorach”? Czy nie nazwałeś mnie obszarniczką,
reakcjonistką, wreszcie kobietą – kobietką! – lekkich obyczajów?

PANI DOCENT

Bo też obyczaje pani hrabiny...

PROFESOR

Jeszcze za życia była pani znana, trudno to nazwać inaczej,
z rozpustnego trybu życia. Wszyscy wiedzą, że ta pani żelazna
biżuteria, te pierścionki, kolczyki w kształcie cierniowej korony...
że to wszystko miało ukrywać pani naganne skłonności.

AMELIA

Precz stąd, łajdaku!

JENERAŁ

Amelio, błagam panią. Całe nasze istnienie jest zagrożone,
a pani... w takiej chwili... I o co? Nasz profesor, choćby i surowo
nas oceniał, nie miał przecież nigdy złych intencji.

AMELIA (*do Tadzia*)

Patrz pan, jak to ci wstrętni starcy trzymają ze sobą. Mam nadzieję, że pan, do innego należący pokolenia, weźmiesz w obronę kobietę, która została żelżona. Ale ja pana chyba nie znam. Kiedy tu przybyłeś? Pozwól, że się przypatrzę. O mój Boże... Toż to Tadzio, Tadzik, Tadeuszek. Skąd się tu wzięłeś, Tadeuszkule miły? Czyżbyś też umarł? Ale nie, ty żyjesz. To dobrze, bardzo dobrze, że żyjesz... że tu jesteś...

TADZIO

Wydaje mi się, że pani się myli.

KAMIL

Ty go znasz, Amelio? Znasz tego złego człowieka... tego Tadeuszka?

AMELIA

Ależ oczywiście. To jest Tadzio, mój Tadzio. Znamy się od lat. Wiesz, Kamilku, on też chciał się dla mnie zastrzelić... tak jak ty... Ale on się nie zastrzelił. O, to człowiek trzeźwy, rozumny... Mężczyzna... Wiele dla mnie jednak wycierpiał. Dla mnie i przeze mnie. Pamiętasz, jak cię zakuwali w kajdany, Tadziku? Klęczałam u twoich stóp. To człowiek dzielny, mężny, mój Kamilu. Splunął im w twarz, tym, co go zakuwali.

BASIA

Kim jest ta kobieta, Tadzio? Boję się... Znałaś ją, może i kochałaś... Niceś mi nigdy nie wspominał. Także o tych kajdanach... Nigdy mi nie mówiłeś, że ktoś cię zakuł...

TADZIO

Nikt mnie nigdy nie zakuł. Nie znam tej kobiety. Pani bierzesz mnie za kogoś innego. Może znałaś kogoś podobnego do mnie? Urody jestem dosyć pospolitej... Człowiek ze mnie pospolity, właściciel ziemski, jak inni... i dobrze mi z tym. To pomyłka, fatalna pomyłka, hrabino.

AMELIA

Klęczałam u twoich stóp, Tadeuszkule. Moje łzy spadały na twoje dłonie, spływały po twoich palcach, po tym żelazie, tych kajdanach zardzewiałych...

KAMIL

U moich stóp nigdy nie klęczałaś. Kazałaś mnie klęczeć. O kobieto, o motyłu... z kwiatka na kwiatek... zmienna motylico...

AMELIA

A potem cię zabrali, popędzili. Myślałam, że umarłeś... tam... Biedaku, sypiałeś pewnie na śniegu, w zawiei... Masz odmrożone palce... paluszki moje kochane...

TADZIO

Nigdy nie spałem na śniegu. Nie wiem, kim pani jesteś, i wiedzieć nie chcę. A teraz...

PROFESOR

Proszę notować, pani docent. Badając strukturę współżycia, zdołaliśmy stwierdzić, że między osobnikami o różnym statusie istnienia mogą też nawiązać się stosunki, których natura jest, jeśli wolno to nam tak określić, jawnie erotyczna. Postanowiliśmy więc, w ramach badania modeli współżycia, przebadać również model współżycia erotycznego. Wymaga to przeprowadzenia pewnych eksperymentów...

PANI DOCENT

Jeśli pan sobie życzy, profesorze, mogę być królikiem doświadczalnym. Poświęcę się.

TADZIO

Dość tego gładzenia, upiorny profesorze. Wynoście się stąd. Wszyscy. Ale to już.

AMELIA

Chcesz ich stąd wygnać? I mnie też? Pojmuję. Ona jest doprawdy śliczna. Adieu, Tadeuszkule. Nie chcę niszczyć ci życia. Dość się już przeze mnie nacierpiałeś.

TADZIO

Szybciej. Już was tu nie ma.

PORUCZNIK

Podlec. I to za takich przelewaliśmy krew.

JENERAŁ

Pańska czcigodna małżonka nie myśli chyba tak jak pan. Odwołuję się do pani czulego serduszka, madame. Do tego

serduszka, które, jestem tego pewien, potrafi się litować i potrafi kochać.

TADZIO

Nie odzywaj się, Basiu. Nie będziemy z nimi dyskutować. Precz stąd.

PANI DOCENT

Nie zaprosi pan nas na kolację? To znaczy mnie i profesora?

TADZIO

Tam są drzwi, upiorzyco.

JENERAŁ

Pożalujesz tego, młokosie. Jeszcze będziesz nas prosił, żebyśmy wrócili.

KAMIL

Twój Tadeuszek, Amelio... Jakże ty mogłaś klęczeć przed kimś takim?

AMELIA

Podaj mi rękę, Kamilku. Jeśli zechcesz mnie zobaczyć, Tadziu, będę na cmentarzu.

KAMIL

Chodźmy raczej do dąbrowy, ukochana moja. Tyle tam życia. Dziewanny pachną, szczygły wiją gniazdko.

TADZIO

Precz. Na cmentarz. Tam jest wasze miejsce. Jutro każę zaorać.

PROFESOR

Ostrzegam pana. Kto za życia nie współczuł upiorom... kto upiora nie kochał ni razu... Nie znasz ich pan jeszcze. Nie będą znać litości... kiedy im jadła nie stanie... nagie zaświecą kości...

Upiory, Profesor i Pani Docent wychodzą.

TADZIO

Jak to straszy, jak pomstuje. Popatrz no, Basiu: jeszcze pięścią wygraża. Myśli, że nas nastraszy. Ale nie nastraszy, co, Basiuńko? Słyszałaś ty kiedy o takich profesorach, którzy upiorami się zajmują? Bo ja nie słyszałem. Ale widać są i tacy. Jakby to nie

mogli się zająć czymś pożyteczniejszym. Szczepionki przeciw durowi bydłecemu wciąż jeszcze nie mamy, pociąg kolei żelaznej ze Skierniewic do Łodzi siedem godzin jedzie, a oni upiory badają, o upiorach piszą. A jak to łypał na mnie. Śmieszna figura. A ten generał... jak on brwi stroczył, jak się puszył... niby indor jaki. A to ci komedia.

BASIA

A mnie oni, Tadziku, wcale nie śmieszą. Ja myślę, że powinniśmy stąd wyjechać. I to jak najszybciej.

TADZIO

Jakże my możemy stąd wyjechać, Basiu kochana? Wszystkie oszczędności nasze w ten dwór włożyliśmy. Pożyczkę w banku wziąłem. Trzeba teraz siać, zbierać. Siał i zbierać, siał i zbierać. I znów siał i zbierać. Trzeba żyć, Basiu. Zostaniemy tutaj.

BASIA

A jeśli oni wrócą?

TADZIO

Po cóż mieliby wracać? Już oni teraz wiedzą, że lepiej się mnie wystrzegać. A jeśli wrócą, to znów ich pogonię.

BASIA

Ona tu wróci, ja wiem.

TADZIO

Kto?

BASIA

Ta kobieta, ta w czerni. Ta twoja znajoma.

TADZIO

Co też ty mówisz, Basieńko moja. Czy ty mnie posądzasz, że ja w świecie upiorów mam znajomości jakiejś?

BASIA

Znałeś ją, kiedy żyła.

TADZIO

Nigdy jej nie znałem.

BASIA

Mówiła ci po imieniu. Przyznaj się, byłeś jej kochankiem.

TADZIO

Mało to Tadeuszków po tym świecie chodzi? Jedną mam tylko kochankę: ty nią jesteś. I innej mi nie potrzeba.

BASIA

Ja ci nie wierzę.

TADZIO

Zastanówże się, Basiu. Jakże ja mogłem być kochankiem tej kobiety? Przyjrzałaś się jej sukni, jej twarzy, jej kapeluszowi? Toż ona zmarła pięćdziesiąt, może sto lat temu. A ja mam lat trzydzieści pięć. Więc za życia nie mogła być moją kochanką. A nie myślisz chyba, że sypiałem kiedyś z widmem, z upiorycą. Jestem normalny, wiesz. Wszystko jest we mnie normalne. Mam normalne myśli, normalne odruchy. Wszyscy jesteśmy normalni. Żyjemy normalnie, jak normalni... Wszystko się wreszcie unormowało i znormalizowało. I dzięki Bogu, i dobrze nam z tym. Jesteśmy normalnymi Europejczykami żyjącymi w normalnym europejskim kraju. Nienormalne są tylko te upiory. Nienormalne i niemoralne. Ale i to kiedyś się znormalizuje, unormuje. Będziemy mieli normalne europejskie upiory, w ilości nieprzekraczającej normy.

BASIA

No tak, jesteś w normie. Całkiem normalny. Więc ta kobieta raczej nie mogła być twoją kochanką. Ale jednak ci nie wierzę. Ona taka piękna. I głos ma taki piękny. Kiedy mówi, to jakby nucila, śpiewała... Jakby jakiś czarny paw... albo czarny anioł.

TADZIO

Wrona, kruk. Rozdziobią nas.

BASIA

Gdybym ja miała takie oczy przepaściste, takie rzęsy długie. Ty już mnie nie kochasz, Tadziku.

TADZIO

A przestańże mnie już dręczyć, zazdrośnico jedna. Dość tego, mój ty pawiu biały, aniele biały. Trzeba nam się wziąć za robotę, choćby jeden pokój przed nocą wysprzątać. A za tymi oknami, powiedz, co byś chciała mieć: malwy czy słoneczniki?

BASIA

Chyba malwy, Tadziku. Białe i różowe. A słoneczniki, wiesz, w tym kącie, tam, gdzie oficyna. Tam jest dużo słońca.

TADZIO

A w sadzie, pod drzewami, postawimy ule. Znam się trochę na pszczelarstwie.

BASIA

Mówiłeś, że pod drzewami będą moje grządki. Z arbuзами, z dyniami, z kapustą, z cebulą.

TADZIO

Będą i grządki, i ule. W oborze będą ryczeć holenderskie krowy. Będziesz je rano doić, moja ty dojarko.

BASIA

A w chlewie będą kwiczeć różowe prosiaki.

TADZIO

A może, tak sobie myślę, Basieńko kochana, może kiedyś ludzkość wymyśli parową, ba, może nawet elektryczną dojarkę? Pomyślże tylko. Naciskasz guzik i oto białe mleko z białych wymion strzyka – samo strzyka! – do białego wiadra. Naciskasz, już nie strzyka. Naciskasz, znów strzyka. A strzykając, śpiewa sobie to mleko cichutko, pieśń swą białą śpiewa, a para w maszynie, gwiżdżąc, pieśni tej wtóruje, a krowy ryczą słodko i to jest w tej białej pieśni, pieśni życia naszego, głos trzeci, basowy. O, co za chór, co za chór. O, jak chce się żyć, Basiu, tak mi chce się żyć... gdy życie pieśni życiodajne śpiewa... Ale się rozmarzył. Gdzie nam do parowej dojarki. Wprzód gnojówkę za stodołą wykopać trzeba.

W tle ostatnich kwestii słyhać początkowo daleki, potem coraz bliższy śpiew: jest to pieśń bez słów, z melodią w stylu dziewiętnastowiecznych śpiewników domowych – najlepiej strawestować coś z Moniuszki – śpiewana na dwa głosy przez Amelię i Jenerała. Kiedy Tadzio kończy swoją ostatnią kwestię, pieśń jest już na tyle wyraźna, że zdaje się, jakby Amelia i Jenerał śpiewali na scenie.

BASIA

Słyszysz, Tadziku? To oni... to ona tak śpiewa.

TADZIO

Patrzże, jacy to uparci. Dam ja im zaraz. Nie będą mi się kręcić koło dworu.

BASIA

Nie, Tadziku, ja proszę. Nie wychodź. Nie chcę tu zostać sama.

TADZIO

Ależ, Basieńko. Nawet jeśli któryś z nich odważy się tu wejść, wystarczy, że tupniesz nogą, o tak. A krzykniesz, to przybiegnę. Nie bójże się, Basiu. Trzeba przecież jakoś żyć. Siac, zbierać.

Tadzio wychodzi.

BASIA

Trzeba jakoś żyć... Ale jak my tu będziemy żyć z tymi upiorami? Bo one się stąd nie wyniosą, dlaczegoż miałyby się wynieść? Czy to im tu źle? A z nami będzie im jeszcze lepiej, dużo lepiej. Będą się grzały przy kuchennym piecu, będą nam wyjadały konfitury ze spiżarni. A ja tak marzyłam, że zimą usiądziemy z Tadzikiem przy piecu... że będę robiła na drutach, a on będzie mi czytał głośno „Wiadomości Literackie”... jakiś felieton pana Antoniego... marzyłam, że jesienią będę smażyła konfitury... z jabłek, z prunelek... także borówki... Tadzio lubi borówki do mięsa... Ile razy mi się śniło, że smażę borówki... we własnym dworze, jak mnie matka uczyła... Będę smażyła konfitury dla upiorów. No to będę, bo jakoś trzeba żyć... trzeba się jakoś przystosować, oswoić... One też się chyba przystosują... To przecież nasze upiory, dworskie... ten generał miły... kiedyś musiał być z niego dorodny mężczyzna... jak to wąsem rusza... jestem przekonana, że da się oswoić, z pewnością wszystkie dadzą się oswoić... hrabina mogłaby mi pomagać przy dojeniu... porucznik będzie rozrzucił gnój... poeta... taki poeta to do niczego się nie nadaje... ale mógłby nocą stróżować w sadzie, żeby nam wiejskie dzieciaki jabłek nie zrywały... generałowi będę przynosić śniadanie do łóżka... będę mu piec bułeczki... trzeba polać masłem, a wtedy robią się takie chrupiące... zdaje się, że on chętnie by mnie schrupał... jak to wąsem ruszał...

Wchodzi Lutek.

LUTEK

Jak się masz, Baśka.

BASIA

Lutek! Co ty tu robisz? Lutek...

LUTEK

Jak to co? Pokutuję... za to, że cię uwiodłem. Tysiąc lat pokuty za uświadomienie nieuświadomionej koleżanki ze studiów. Pamiętasz tę noc, Baśka, w tym stogu siana? Ale żeś się bała.

BASIA

Ty żyjesz, Lutek?

LUTEK

Ale skąd. Byłaś przecież na moim pogrzebie. Ten goździk – pamiętasz? – położyłaś na moim grobie. Goździki były wtedy modne. Teraz przynosi się lilie, storczyki. Ludzie się wzbogacili, a i zmarli wolą takie wytworniejsze kwiatki. Ale ja sobie ten goździk zachowałem. Na pamiątkę. Biały goździk od niewiernej kochanki.

BASIA

Więc ty... i tamci... tutaj... i ty razem z nimi...

LUTEK

A tak. Muszę się tu męczyć z tymi starymi pierdzielami. Żebyś ty wiedziała, co to za nudziarze. Nadęte zera. Ten jenerał... nicość taka...

BASIA

Ależ ty, Lutek... Przecież twój grób jest tam, nie tutaj... Chodzę na ten grób co roku, w rocznicę... zapalam świecek...

LUTEK

W rocznicę tej nocy w stogu siana? Czy w rocznicę mojej śmierci? Tak czy inaczej, to ładnie z twojej strony, że zapalasz mi świecek. Ale mnie tam już nie ma. Przeniosłem się na ten wiejski cmentarzyk. Złote litery to nie dla mnie. Nigdy nie lubiłem tych ceremonii, tego przepychu... Mieszkańskie przesady. A tu jestem bliżej życia, bliżej tych ludzi z wioski. Mogę uświadamiać... Miło tu nawet... gdyby nie ci starcy... zgniłki

takie... Ale zapewniam cię, Baśka, że to tylko chwilowa niełaska. Kiedyś znów mnie ekshumują, już ja się o to postaram. A jak mnie ekshumują, to już ja im...

BASIA

Nic się nie zmieniłeś. Już ja im, już ja ich. Zawsze ten sam Lutek.

LUTEK

Ty się za to zmieniłaś. I to bardzo. Jeszcze na moim pogrzebie byłaś w takiej krótkiej sukieneczynie... perkalikowej, w kwiatki... i w tenisówkach... włosy miałaś spięte taką klamrą z plastiku, taką plastikową biedronką... A teraz... te rękawiczki, ten kapelusz, ta biżuteria... Perelki pewnie prawdziwe, co?

BASIA

Hodowane. Na prawdziwe nas jeszcze nie stać.

LUTEK

Hodowane. Wyhodowałem cię... ty mała żmijo. Jeździsz pewnie konno, co? Może już i w golfa grywasz? A latem to chyba wyjeżdżasz z tym twoim dorobkiewiczem do Monte Carlo, żeby sobie pograć w ruletkę? W Chamonix też bywacie? A może ten twój hrabia woli Davos?

BASIA

Mój mąż nie jest hrabią.

LUTEK

Jeszcze kilka lat i będzie. Niech tylko zaczną sprzedawać tytuły... Kłaniam pani hrabinie.

BASIA

Chcesz już odejść, Lutek? Zostań jeszcze. To jednak miło... po tylu latach. Nie myślałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. O, Lutek, Lutek. Jak myśmy się zmienili, jacy my inni jesteśmy... tacy już dorośli. Śniłeś mi się niedawno, wiesz?

LUTEK

Pani baronowa zechce wybaczyć biednemu nieboszczykowi, że się ośmielił przyśnić pani baronowej. To się już nie powtórzy.

BASIA

Śniło mi się, że przemawiałaś, że przemawiasz... Biłeś pięścią w katedrę, a ja siedziałam w ławce. To było jakby w jakiejś

szkole, chyba w tej, w której robiliśmy maturę... Bałam się, bo wskazywałeś na mnie palcem... krzyczałeś na mnie tak jak wtedy, kiedy mnie oskarżyłeś o to, że w Zaduszki zapalam świece na grobie mojej babci... krzyczałeś, że trzeba wykorzenić te drobnomieszczańskie przesady... że człowiek nie umiera, a ci, co jeszcze chcą umierać, mogą się wynosić... że jestem nieświadomiona... że trzeba mnie uświadomić... że mnie uświadomisz... A potem zemdlałeś. Zawsze mdlałeś w czasie przemówień. Nie wytrzymywałeś nerwowo. Mój ty słabosilny.

LUTEK

Nie przypominam sobie, żebym kiedyś zemdlał w czasie przemówienia. Inni, owszem, mdleli, kiedy przemawiałem.

BASIA

Bali się ciebie, Lutek, dlatego mdleli. Wszyscy się ciebie bali. Ja też.

LUTEK

Ale teraz już się nie boisz, co? Nikt już mnie się nie boi. Ale ja jeszcze... jeszcze kiedyś przemówię... znów będziecie mdleli... Jednak chyba już pójdę. Twój szanowny małżonek może tu wejść w każdej chwili. Nie chciałbym oberwać tym harapem.

BASIA

Co ty też mówisz, Lutek. Mój Tadzik zawsze cię lubił.

LUTEK

Udawał, że mnie lubi, bo się mnie bał. Kto się boi, ten lubi. Teraz by się nie krępował. Przegnałby mnie jak tamtych... I któż by to mógł przypuszczać. Pomyśl tylko, Baśka, przecież to po prostu niesamowite. Kobyła historii gna, pędzi, rży, parska, przeskakuje dziesięciolecia, stulecia, epoki, wydaje się, że stratuje, że podepcze wszystko – bo też nieźleśmy tę kobyłę popędzili – a oto na grzbiecie tej kobyły wjeżdża w przyszłość kto? Ta nieświadomiona miernota, to ideowe zero, ten twój Tadzio, który bazy od nadbudowy w szkole, idiota, nie umiał odróżnić, którego ze szkoły musieliśmy wylać, którego na uniwersytet nie mogliśmy przyjąć, bo, debil, nie pojmował, jaką rolę w procesie ucłowieczenia małpy... a pochodzenie miał też fatalne, idiota.

BASIA

Wolałabym, żebyś wyrażał się o moim mężu z większym szacunkiem.

LUTEK

I oto ten twój nowobogacki, którego ja na grzbiecie tej kobyły wsadziłem – bo wsadziłem, wszystko mi przecież zawdzięcza – oto ten twój mężulek harapem teraz smaga, lży te biedne ogłupiałe upiory, lży mnie, podnosi rękę, harap na naszych przodków, nasze fundamentalne wartości, naszą przeszłość. A czymże my, Baśka, jesteśmy bez wartości naszych i bez przeszłości naszej? Ale już ja jemu... jeszcze ja go uświadomię. Nie pozwolę mu lżyć niezbywalnych wartości, naruszać fundamentalnych praw...

BASIA

Kiedyś mówiłeś inaczej, Lutek. Tłumaczyłeś mi... pamiętasz, w tę noc księżycową, w tym stogu siana... że nasza przeszłość, cała przeszłość, jest godna pogardy, że powinniśmy się wstydzić, że muszę się wyrzec, bo istnieje tylko przyszłość, wspaniała, inna niż wszystkie inne przyszłości, że nasze dusze, nie dusze, bo dusz wtedy nie mieliśmy, że nasze młode serca są zatrute przez jady przeszłości, ale jeśli odetnę się od mojej zmarłej babci, to ty za mnie zaręczysz... świerszcze grały, miałam takie długie warkocze... układałam je w koronę, pamiętasz?... Oszukałeś mnie, Lutek. Moja babcia była wspaniałą, dzielną kobietą. Ten dwór, wiesz, należał kiedyś do niej.

LUTEK

Ja ciebie oszukałem, Baśka? Żartujesz. To mnie oszukano. Nawet się sobie nie dziwię. Byłem wtedy młody, nie miałem jeszcze osiemnastu lat. Byliśmy przyszłością narodu, pierś moja pełna była sił. Uważałem, że wszystko trzeba zmienić, wszystko da się zmienić. Teraz też tak uważam. Żebyś ty wiedziała, Baśka, jakie stosunki panują w życiu pozagrobowym... Trzeba to wszystko zmienić. Trzeba ożywić, trzeba wcielić w życie te zapomniane fundamentalne wartości, które w świecie naszych ojców... trzeba wybrać z naszej przeszłości to, co najcenniejsze, pojmujesz, te wielkie liberalne tradycje... trzeba powrócić do przeszłości, ożywić tę przeszłość... i w imię przeszłości...

BASIA

Wtedy, w stogu, mówiłeś mi, że zmienimy, że zmienisz wszystko w imię przyszłości... że przeszłość już zdechła, mamy tylko przyszłość...

LUTEK

No to co, że mówiłem? Czego to człowiek nie wygaduje. Chciałem zmieniać w imię przyszłości? No to się zmieniłem. Tylko krowa nie zmienia poglądów. Byłem głupi, a teraz jestem mądry. I nie zamierzam się przed nikim tłumaczyć. Rozumiecie, przed nikim. To jest moja osobista tragedia, tragedia liberalnej europejskiej umysłowości, tragedia dziewiętnastowiecznego europejskiego humanizmu, syndykalizmu, liberalizmu. To jest największa tragedia tego wieku, wszystkich wieków. I nie będziecie z mojej tragedii robić komedii.

BASIA

Myślę, że jednak powinieneś się wytłumaczyć, Lutek. Nie przede mną, przed Tadzkiem. Kilka razy zachowałeś się wobec niego, delikatnie mówiąc, nieładnie. Więc musisz mu wytłumaczyć, dlaczego wtedy doniosłeś, że jego dziadek, pamiętasz... Jestem pewna, Lutek, że on ci przebaczy. Tadzio to umysł szeroki, on wiele przeżył i wiele pojmuje. A choć teraz zaprzęta go przede wszystkim problem skonstruowania parowej dojarki – pracuje nad tym po nocach, wiesz, mój śmieszny Tadzik – myślę, że można go nazwać humanistą. Tylko że on ten humanizm nieco inaczej pojmuje niż ty, Lutek. Poczekaj tu na nas.

Basia wychodzi.

LUTEK

Zdaje się, że głupio to rozegrałem. Zamiast zaprezentować się jako zabiedzony, wygłodniały nieboszczyk, który chciałby się przytulić, ogrzać, dałem się wciągnąć tej idiotce w dyskusję ideową. Ale jeszcze nic straconego. Trzeba tylko się pozbyć tego hreczkosiejka. Pracuje nad skonstruowaniem parowej dojarki, światopoglądowa miernota. Nigdy żadna idea nie wylęgła się w tym drobnomieszczkańskim mózgu. I nigdy się nie wylęgnie.

Życie bez idei... jakież to wstrętne. Ale mylą się ci, którzy sądzą, że wiek ideologii dobiegł już kresu. Dwudzieste stulecie, koledzy, jeszcze się nie skończyło. I nigdy się nie skończy, ja to wam przyrzekam, młodzi przyjaciele. (*mdleje i mdlejąc, mówi*) Mógłbym donieść, że jego dziadek... ale gdzie, do kogo?

Wchodzi Profesor z Panią Docent.

PROFESOR

Myślę, pani Haneczko, że nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do stolicy. Ten Tadeuszek to twarda sztuka. Znajdziemy jakiś inny dwór, w innej okolicy. Profesor Tarnowski pisze mi, że pod Krakowem pojawił się jakiś upiór z bokobrodami. Tańczy w karczmach krakowiaka i namawia chłopów, żeby ostrzyli kosy. Podaje się podobno za cesarza. Wie pani, był taki cesarz, dawno temu, nazywał się Franciszek Józef. Ale to pewnie jakiś samozwaniec. Upiór samozwaniec, ciekawy problemat. Trzeba to przebadać.

PANI DOCENT

To ten Lutek, panie profesorze. Śpi. Moglibyśmy go teraz zbadać. Przez sen chyba nie ugryzie.

PROFESOR

A to znakomicie. Niech pani zmierzy mu pojemność czaszki, wysokość czoła. Zgryz ma prawidłowy?

PANI DOCENT

Niech pan będzie łaskaw podać mi mój kalkulator, panie profesorze. Zaraz to obliczę. Kiedyż to będziemy mogli poświęcić się wyłącznie socjologii upiórów. Tak bym chciała pracować w tej jednej specjalności. Musimy być jednocześnie biologami, psychiatrami, historykami literatury, antropologami. Trudno temu podołać.

PROFESOR

Niech pani nie narzeka, pani Haniu. Badania z pogranicza nauk są niezwykle ważne. A nasza dyscyplina, zapewniam panią, będzie się rozwijać. Upiórów będzie przecież coraz więcej, będą mieć małe, będą się rozmnażać. Pojawiają się nowe krzyżówki

ideowe, nowe mutacje, kombinacje, generacje. Geny światopoglądowe będą się dzielić, łączyć. Niebawem już nasza nauka stanie się królową wszelkich nauk. Będziemy mieli magistrantów, doktorantów. Wówczas będzie się pani mogła poświęcić swojej ukochanej socjologii.

PANI DOCENT

A!

LUTEK

Niech się pani nie boi, nie ugryzę. No proszę, niech pani mierzy.

PROFESOR

Pan się zgadza? Pozwoli się pan zbadać?

LUTEK

Pozwolę. Jeśli pan mi pomoże.

PROFESOR

Ależ oczywiście, że panu pomogę. Oboje z panią docent z największą chęcią... Udzielanie pomocy naszym podopiecznym czyż nie jest naszym pierwszym obowiązkiem? Ale w czym moglibyśmy panu pomóc?

LUTEK

Zaraz pan się dowie. No dalej, bierz się pan do roboty.

PROFESOR

Proszę podać mi śrubę trygonometryczną, pani docent. I proszę notować. Dwadzieścia siedem na trzynaście, szerokość dziewiętnaście, pojemność sześć na dziewięć. Pańskie uzębienie, panie Lutku, jest, niestety, w fatalnym stanie. Brak trójki, czwórki. Siódemka się rusza. Trzonowe do usunięcia. Piątkę może by się dało uratować.

LUTEK

A Walek?

PROFESOR

Co Walek?

LUTEK

W jakim stanie jest uzębienie Walka?

PROFESOR

O ile dobrze pamiętam, Walek nie ma ani jednego ubytku. Wie pan, te chłopskie upiory odżywiają się zazwyczaj cebulą, ogórkami, zsiadłym mlekiem. Dlatego ich uzębienie jest w takim znakomitym stanie.

LUTEK

A to znakomicie.

Kurtyna

AKT II

Cmentarz otaczający dworek Tadzia i Basi. Frontową ścianę dworku można postawić w głębi sceny, można też tę ścianę, z fragmentem ganku, otwartymi oknami, dachem, z którego sypią się dachówki, namalować – byle realistycznie – na horyzoncie. Na tle tej ściany stoją połamane, szerniałe ze starości krzyże, pokruszone, zapadające się w ziemię nagrobki. Między krzyżami i nagrobkami, wokół grobów, a także na grobach rosną krzewy i drzewa: jabłonki, grusze, krzaki owocowe, ale i pomidory, ogórki, groch na tyczkach. W ogóle dużo jest zieleni na tym cmentarzu – są i chwasty, liście łopianu, pokrzywy – ale ta zieleń jest wyblakła, jakby przysypana kurzem. Więc, jak i w pierwszym akcie, wszystko jest szarobiałe raczej niż zielone. Na pierwszym planie groby Jenerała, Porucznika, Amelii, Kamila. Dzień jest słoneczny, pora południowa. Porucznik goli się na swoim grobie, namydla twarz pędzlem, zbiera pianę brzytwą. Jenerał wciąga buty. Kamil, gdzieś w łopianach zaszyty, coś pisze.

JENERAŁ

Buty trzeba by oczyścić. Niech pan poda mi szczotkę, poruczniku. Leży tam, pod tym krzakiem bzu. A pan, panie Kamilku, też mógłbyś mi usłużyć. Oto moja szabla, patrzże, całkiem zardzewiała. Idź do dworu, przynieś arkusik ściernego papieru, a przy jego pomocy łatwo rdzę usuniesz.

KAMIL

Proszę mi nie przeszkadzać. Nie widzi pan, że pracuję?

PORUCZNIK

Nasz Kamilek pewnie jakiś erotyk układa. Przyznaj się pan, ten wierszyk to dla naszej Basi? Opiewasz jej oczęta błękitne, jej płeć jak krew z mlekiem. Krew z mlekiem... albo bez mleka... Wolałbym bez mleka... Wzięło cię, poeto.

KAMIL

Bardzo się pan mylisz. Wiersz mój całkiem inne problema porusza. Chcecie, panowie, posłuchać? No to słuchajcie. *(czyta)*

O śmierci, przyjdź. Na skroniach mego ducha połóż zimne palce...

JENERAŁ

A dajże pan spokój. My tu do życia się sposobimy, a pan nam o śmierci... I na cóż to śmierci wzywać, gdy już raz umarłeś? Idź do dworu, przynieś ściernego papieru. Podajże mi pan tę szczotkę, poruczniku.

PORUCZNIK

Sam pan sobie podaj. Nie jestem pańskim ordynansem.

JENERAŁ

Jesteś jednakże moim adiutantem, mógłbyś więc...

PORUCZNIK

Już nie jestem. Chciej sobie pan innego adiutanta poszukać.

JENERAŁ

A cóż to cię ugryzło, drogi poruczniku? Żle spałeś w nocy? Lewą nogą z grobu wstałeś? Być moim adiutantem, toż to honor przecie. Niemały honor.

PORUCZNIK

Kogo innego więc uhonoruj pan tą funkcją. Awansuj naszego poetę albo i Walusia. Bo ja ci służyć już nie będę, jenerale. Drogi nasze się rozeszły, inne mamy cele. To znaczy cel mamy, jak sądzę, ten sam i tą samą drogą posuwać nam się wypadnie. Ale do tego celu tylko jeden z nas dojść może. Jak panu wiadomo, strzelam z pistoletu znacznie lepiej niż pan. Radzę więc się zastanowić. Jeśli pan zrezygnujesz, pozostanę pańskim adiutantem.

JENERAŁ

O to więc chodzi. No to powiem miłemu panu, że to pan powinien pójść po rozum do głowy i zrezygnować, zanim jeszcze do cna się nie ośmieszyles. Bo ona takiego młokosa, który ma mleko pod nosem, któremu wąż się jeszcze nie wysypał, któremu jeszcze zbytki, figle w głowie, ona takiego młokosa, powiadam, nie zechce. A to niesłychane. Patrz pan, panie Kamilu, do czego to doszło. Jak to się nasza młodzież rozwydrzyła. Żeniaczki mu się zachciewa. Jajo mądrzejsze od kury. Gdybym to ja był twoim

ojcem, to tak bym ci tyłek złożył. Jak pan uważa, panie Kamilu, czy te moje wąsy... bo myślę ufarbować, co pan na to? Gdyby tak trochę szuwaksu. Godniej bym wyglądał.

KAMIL

A farbuj pan. Albo i nie farbuj. Cóż mnie to obchodzić może? Na skroniach mego ducha... Może lepiej byłoby: na oczach mego ducha... lub: na dziejach ducha zimne palce śmierci...

PORUCZNIK

Ufarbuj pan i włosy. Dobrze by też było, gdybyś mógł się pan wypuścić do wód, żeby gdzieś w Karlsbadzie czy w Wiesbaden pedogrę podleczyć. Masz pan także, zdaje się, inne dolegliwości. Żołądek opuszczony... Powinieneś pan nosić gorset, jenerale. Żoneczka będzie sznurować co rano... byle tylko wieczorem sznurki się nie zaplątały...

JENERAŁ

A tego już nadto. Pan myślisz, że tylko młodzi mają prawo... że tylko młodym wolno... a starym to wara...

PORUCZNIK

Ależ skąd, jenerale. Pani Basia, jestem tego pewien, uwielbia starszych panów. Idźże, oświadczyć swoje uczucia, na co jeszcze czekasz? Ja w to nie wątpię, że będziesz dobrze przyjęty. Jednak się wahasz. Otóż to. Jak zwykle, jak wtedy, kiedy tak delibrowałeś, czy atakować z prawej, czy też z lewej flanki. A nim się zdecydowałeś, oni zaatakowali. Z lewej i z prawej, i z tyłu, i z przodu. Ledwie się po tej bitwie wylizałem z ran. A ilu naszych poległo, ilu poszło do niewoli. Ech, jenerale, gdybyś ty się wtedy zdecydował. Teraz też się nie zdecydujesz, wiem. Zawahasz się w ostatniej chwili. A tu trzeba działać szybko, odważnie. Trzeba naszkicować plan strategiczny, plan choćby i ryzykowny, ale plan śmiały, pełen fantazji, różne przewidujący rozwiązania, kombinacje, sytuacje. Bo cóż z tego, że opanujemy ten dwór, że unieszkodliwimy, że się pozbedziemy tego jej Tadzia... Nam trzeba już dziś myślać wybiec w przyszłość, trzeba przyszłość naszą zorganizować, zreorganizować. Otóż powiadam ci, mój jenerale, że tylko ktoś młody, tylko młody oficer, młodzi

oficerowie mogą nakreślić taki plan, a potem ten plan śmiało i zdecydowanie zrealizować. My się nie zawahamy. Ja się nie zawaham. Choćby polec przyszło. Ze strategicznego punktu widzenia powinno to wyglądać tak... spojrzysz, jenerale.

JENERAŁ

Nie pozwolę młokosom... nie pozwolę ci, młokosie...

PORUCZNIK

Tu jest dwór, patrzaj... Ty tu... a ja tu... Basia będzie tam... poszlibyśmy tędy... ty z flanki, a ja stąd... tu, przy kieracie, moglibyśmy go osaczyć... nocą, kiedy będzie wracał z za stodoły... pojmujesz, jenerale... nie miałyby wtedy innej drogi odwrotu... tylko tędy... a potem we dworze... Obyłoby się nawet bez rozlewu krwi...

JENERAŁ

Owszem, podoba mi się ten pański plan, poruczniku. Śmiały to plan. Ale chyba nie uda nam się go zrealizować. Nie damy rady. Jest nas tylko dwóch...

PORUCZNIK

Jeśli połączymy nasze siły, jenerale... No i nocą... nocą jesteśmy silniejsi niż za dnia... Zdecydujże się. Wesprzyj młodość moją twym autorytetem, twoim doświadczeniem.

JENERAŁ

A ktoś będzie dowodził? Bo jeśli pan, to ja...

PORUCZNIK

Niech panu będzie. Moja godzina jeszcze nie wybiła.

JENERAŁ

Trzeba więc zwerbować Walka. Także Kamilka... Bez rozlewu krwi jednak się nie obejdzie... Profesor mówił wtedy wyraźnie, że krew musi zostać przelana... wyszana... wysączona do ostatniej kropli. Zrzucimy wreszcie te nasze upiorne mundury i każemy sobie skroić nowe. Te spłowiałe lampasy, te żółtkłe otoki, te wyłogi szare znów będą czerwone... rozkwitną jak maki... krwistoczerwone maki... Prosimy do nas, panie Kamilu. Zechce pan rzucić okiem na plan naszkicowany tu przez porucznika.

KAMIL

Na mnie proszę nie liczyć, jenerale. Ja w tym morderstwie udziału nie wezmę.

JENERAŁ

A któż tu mówi o morderstwie? Chodzi o pewne posunięcia natury militarnej, czysto militarnej, mające doprowadzić do zmiany sytuacji, w której się znajdujemy. A sytuacja nasza, sam pan to przyznasz, musi ulec zmianie. Przyjdzie jesień... słoty... Mamy się taplać w błocie na tym cmentarzyku?

KAMIL

Chcesz pan jednak zamordować tego człowieka.

JENERAŁ

Chcemy go stąd usunąć, to wszystko. Ten dwór należy do nas. Prawem zasiedzenia. Chciał pana przecież wychłostać kańczugiem. Nie możemy mu pozwolić, żeby obrażał naszego ukochanego wieszacza.

KAMIL

Nie czytał on pewnie moich wierszy, ale to jeszcze nie powód, żeby mu się rzucać do gardła. Nie, moi panowie. Nie przyłożę do tego ręki. Owszem, zamierzam nawet zawiadomić tego człowieka, że chcecie go podstępnie zamordować, uprzednio uwiódłszy mu żonę.

JENERAŁ

Tego pan nie uczynisz.

KAMIL

A owszem, uczynię. I to zaraz, natychmiast.

JENERAŁ

A to ja miłego pana... Pomóż mi pan, poruczniku. Zaszpuntujemy go w beczce z deszczówką.

PORUCZNIK

Po co, jenerale? Niech sobie idzie, niech nawet doniesie. Któż uwierzy poecie? Dostanie harapem po plecach, to mu się odechce. No leć, grafomanie, donieś na swoich. Oto i poeci nasi: jakże łatwo wyrzekają się wielkich ideałów przeszłości. Chodźmy,

jenerale. Spacerując wczoraj wieczorem wokół dworu, zatrzymałem się pod tym zakratowanym okienkiem, wie pan, tym, co na park wychodzi. Tam jest łazienka. I wyobraź pan sobie, wychodziła właśnie z kąpeli, owinięta ręcznikiem. Świeczka stojąca na umywalce oświetlała wyraźnie... Cóż to za kształty... Wydawało mi się uprzednio, że jest odrobinę za chuda... Ale nie... Ma takie różne okrągłości... prawdziwie rozkoszne... Powiadam panu, delicje... Chodźmy tam, jenerale. Może znów się kąpie?

JENERAŁ

Ależ, poruczniku. Czy to się godzi tak podglądać kobietę, co nieświadoma, że śledzi ją czyjś wzrok łakomy, rozchyła... To zboczenie jakieś.

PORUCZNIK

Wypada jednak poznać obiekt, dla którego życie na kartę postawić się zamierza. I cóż w tym zresztą złego? I tak będzie przecież moją.

JENERAŁ

Twoją? A to się okaże, czyją ona będzie. Chodźmy więc, poruczniku. A po drodze nasz plan jeszcze obgadamy.

Jenerał i Porucznik wychodzą.

KAMIL

Pójdę, ostrzegę ich... Nie może to być, żeby ci cyniczni mordercy... nie mogę na to pozwolić... I któż by to przypuszczał... Ten jenerał, zacyz człowiek... grałem z nimi w wista... a tak mu oczy błyszczą, gdy mówi o krwi... szarpałby na sztuki... Tak, pójdę, ostrzegę... Trzeba im przeszkodzić, trzeba powstrzymać... Nic ich nie powstrzyma... Tacy są złaknieni, tak im ta krew słodko pachnie, tak dawno nie pili... Chcieliby wbić zęby i pić, i chleptać... chcieliby się umyć w tej krwi... którą wytoczą, która będzie się sączyć... przez wieki... Tyle krwi płynącej przez wieki... tyle krwi, która wciąż się sączy, przecieka... z epoki w epokę, z pokolenia w pokolenie... tyle pokoleń i wszystkie we krwi... we krwi ojców i we krwi własnej... tyle pokoleń we krwi tylu pokoleń... I po cóż to, po co... Czy ta krew nigdy płynąć

nie przestanie... czy ludzie przeszli, ludzie, którzy przeminęli, będą zawsze rozdzierać piersi ludzi przyszłych, a ludzie przyszli będą dręczyć ludzi przeszłych... czy zawsze tak się nawzajem będziemy zamęczać?... Moglibyśmy pójść przecież razem do dąbrowy... Słowik tam śpiewa, szpaki wiją gniazda... strumień błyska w trawie... Moglibyśmy spacerować między drzewami, trzymając się za ręce... zrywać bławatki... wic wianki błękitne... Pójdę do dąbrowy... nazrywam bławatków, pierwiosnków, uwiję wieniec dla Amelii... i dla pani Basi... ale wprzód muszę ostrzec... Nie może to być, żeby ci mordercy...

Wchodzi Basia i Pani Docent. Basia niesie koszyk, a w nim imbryki, garnuszki, jadło owinięte w białe serwetki.

PANI DOCENT

Pani to ma pomysły. Na co im to jadło? Ptactwo to rozdziobie. Mówię pani przecież, że oni nic nie jadają. Krwi, tak, krwi to by się może napili. Ale na chleb z masłem to już łąsi nie są.

BASIA

Może jednak coś zjedzą. Wydawało mi się wczoraj, że są głodni, po prostu głodni. Myślę też, pani Haniu, że powinniśmy się poznać bliżej, a przy kawie... A!

PANI DOCENT

Niech pani się nie boi. On nic pani nie zrobi. To ten poeta, wie pani. Osobnik nieco dementywny, ale zupełnie pozbawiony cech agresywnych. Szczególny wypadek zaniku woli życia.

KAMIL

Proszę się nie lękać, madame. Ja krwi nie pijam.

BASIA

Ależ nie wątpię w to. Miło mi pana poznać, naprawdę miło. A i z pana strony miło, że pan zechciał... Ale niechże pan siada, proszę. (*Basia rozstawia na grobie talerzyki, filiżanki, dzbanuszki*) Pan jest poetą?

KAMIL

Tak, pani. Niegdyś byłem poetą. A i dziś zdarza mi się jeszcze... Ale od lat nic nie publikuję.

BASIA

Uwielbiam wiersze. Szczególnie wiersze naszych młodych wieszczów... także i pańskie. Kiedyś musi mi pan coś przeczytać. Zna pan „Pana Tadeusza”? Bardzo lubię ten piękny poemat. Wcielam się, czytając, w te postaci, żyję ich życiem. Musiał pan czytać, niedawno wydano to dzieło w Paryżu.

KAMIL

Czytałem. Wieprzowatość życia opisanego tam... jakież to niesmaczne... poemat w niskim stylu...

BASIA

Ale my tu sobie gadamy, a pan nic nie je. Proszę, niechże pan skosztuje. Może i pani docent...

KAMIL

Dziękuję, rzodkiewek nie jadam.

PANI DOCENT

A ja rzodkiewkę, owszem, z chęcią skonsumuję. A może byśmy sobie tak kropnęły, pani Basieńko? Przyniosła pani wódeczkę?

BASIA

Jest tu nalewka na czarnych porzeczkach, jeśli pani sobie życzy...

KAMIL

Ja pić nie mogę, dziękuję.

PANI DOCENT

No to na prawą nóżkę. Pańskie zdrowie, upiorku.

BASIA

Może więc grzanekę z dżemem? A może biszkopta? Jest także biały serek. Ten z kminkiem, a ten zmieszałam z ziołami. Pora jest co prawda wczesna, dopiero południe... Jaki dżem pan woli? Malinowy czy truskawkowy? Zaraz panu nasmaruję. My to u nas w domu nazywamy podwieczorkiem dla Antosia. Wie pan, myślę o panu Antonim, tym, co u pana Grydzewskiego w „Wiadomościach Literackich” felietony co tydzień drukuje. Bywał on u nas, kiedy mieszkaliśmy w stolicy. Na podwieczorek chciał mieć zawsze grzanki, serek, dżemy, stąd to określenie. A jedząc grzanekę z dżemem, chętnie gawędził z nami o upiorach.

O, bo nasz pan Antoni zna się na upiorach. Twierdzi on, niech pan sobie wyobrazi, że każdego upiora można oswoić. Trzeba go tylko wprzód zrationalizować. A kiedy się go oswoi, czyli zrationalizuje, co jednak podobno nie jest takie łatwe, bo żeby coś zrationalizować, trzeba mieć samemu umysł racjonalistyczny, więc kiedy upiora się zrationalizuje, to ten upiór znika. I nigdy więcej już się nie pojawia.

PANI DOCENT

Racjonalizowanie to metoda dziewiętnastowieczna. My teraz strukturalizujemy. No to chlup w ten głupi dziób.

BASIA

Ja się na tym nie znam. Ale pan Antoni twierdził, że trzeba racjonalizować, bo jak się nie będzie racjonalizować, to zagryzą.

KAMIL

Pan Antoni chyba się jednak mylił. Iluż to krytyków, historyków literatury usiłowało mnie zrationalizować. I nawet im się to udawało. A jednak nie zniknąłem. Choć wiele razy, wyznam to pani, pragnąłem zniknąć... rozwiać się... rozprzestrzenić... w duchu duchem być... ale złudne to są marzenia... po szczęblach ducha długo trzeba szczęblować... może wieczność całą... nim jako aniołowie skrzydła ducha nad tym krajem rozwiniemy...

BASIA

Może więc jeszcze kawy? Kawę uczyła mnie parzyć moja babcia. Nie chcę się chwalić, ale niech pan spojrzy: ma przejrzystość bursztynu. Czy pan wie, że ten dwór należał niegdyś do rodziny mojej babci? Także pobliskie Kleszewo... Ta rodzina osiedliła się tu, nad Narwią, przed kilkuset laty... Stare to dzieje... Śmietankę do kawy sama dziś rano zbierałam w oborze. Do każdej filiżanki w osobny garnuszek... i osobny kożuszek... Ach, te biedne krowy. Takie są wychudzone. Ryczą z głodu. Panowie wcale nie dbali.

PANI DOCENT

Pije kawę. To nie do wiary. Czyś ty oszalał, upiorze?

KAMIL

Musi nam pani wybaczyć. My się na krowach nie znamy. Nie mieliśmy zresztą czasu, żeby się zajmować hodowlą.

BASIA

Wierzę jednak, że teraz panowie zechcą nam dopomóc. Przynajmniej pan. Nie myślę o pracach w oborze, to ciężka robota. Ale gdyby mógł pan zaopiekować się drobiem... Poeci lubią przecież ptaszęce świergoty, szczebioty. Rano trzeba wynieść ziarno w sienie, zebrać jaja zniesione przez kury i perliczki.

KAMIL

Pani wybaczy, jaj zbierać nie będę. Pani też nie powinna... Po cóż pani te jaja?

BASIA

Ktoś to robić musi.

KAMIL

Pani powinna stąd wyjechać. Państwo oboje... i to jak najszybciej. Ja błagam: niech pani nie myśli o tych kurach, krowach. W mieście ma pani bieżącą wodę, kaloryfery. Niech pani stąd wyjedzie.

BASIA

Ależ, panie Kamilu, te krowy tak ryczą, że serce się kraje.

KAMIL

To pani mąż. Dziękuję za kawę. I proszę pamiętać, że ja panią ostrzegałem... ostrzegam... musi pani wyjechać... błagam panią...

Kamil wychodzi.

BASIA

Ach, ten Tadzik. Nikt go tu nie prosił. Wypłoszył mi tego miłego poetę... bo on miły, prawda, pani Haniu? Ale nic nie szkodzi. Jeszcze dziś go poproszę, żeby mi naprawił drabinkę w kurniku. Szczęble się, wie pani, połamały... Choć poeta, to szczęble chyba naprawić potrafi?

Wchodzi Tadzio.

TADZIO

Co ty tu robisz, Basiu? Szukam cię wszędzie... Trzeba gnój z obory wyrzucić. Sam nie dam sobie rady, ktoś musi mi pomóc.

BASIA

Jakże ja będę wyrzucać gnój w tej sukni? I w tych rękawiczkach? Nie godziłam się do wyrzucania gnoju, mój drogi Tadziku.

TADZIO

Trzeba było włożyć dzinsy, Basieńko. Ja od rana haruję, a ty sobie spacerujesz. Patrz, bąble mi się porobiły... tak widłami machałem. A pomocy znikąd. Tak się nie godzi, moja ty pani dziedziczko. Toż to nasze wspólne gospodarstwo.

PANI DOCENT

Niechże pan się nie gniewa na naszą śliczną Basieńkę, panie Tadeuszu. Chciałyśmy tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. W pokojach wciąż jeszcze taki zaduch, nie ma czym oddychać. No i spotkałyśmy tutaj pana Kamila, wie pan, tego poetę. Zagałdałyśmy się, to prawda. Już niemal południe.

TADZIO

Ja cię prosiłem, Basiu, żebyś ty się z tymi upiorami nie zadawała. One muszą sobie stąd pójść. A jak ty będziesz z nimi gawędziła...

BASIA

Ależ myśmy z nim tylko chwilę, chwileczkę jedną tutaj rozmawiały. On nawet miły. Tak mnie śmiesznie komplementował. I ostrzegał, wiesz, przed tamtymi... Bardzo miły i grzeczny człowiek. I na pewno nie ma żadnych złych zamiarów. Wiedziałam, że się będziesz na mnie gniewał... niedobry ty jesteś... już Basieńki nie kochasz...

TADZIO

Bardzo cię proszę, moja Basiu, żeby to się więcej nie powtórzyło. Nie życzę sobie żadnych rozmów... Zostaw to mnie, już ja wiem, jak z nimi rozmawiać. Komplementował cię! Może i rączkę pozwoliłaś mu ucałować? A to co jest, Basiu? Zsiadłe mleko, rzodkiewki. Jest także ser biały. Ty im jedzenie, Basiu, na groby przyniosłaś.

PANI DOCENT

Tłumaczyłam naszej Basieńce, że one sera nie ruszą. To przecież nie myszy.

TADZIO

Jakże ty mogłaś, Basiu?

BASIA

A cóż ja złego zrobiłam, Tadziku? Jeśli one są głodne, to ja uważam, że my mamy obowiązek... A one są głodne, wiem, że są. Wystarczy na nie spojrzeć. Takie są wychudzone, takie chudziuteńkie... i tak łakomie na mnie patrzą... oblizują się... To jakże? Czy głodnego można nie nakarmić?

TADZIO

A może i na obiad je zaprosisz? Może do stołu im będziesz podawać? Żeby mi to było ostatni raz, Basiu. Jeśli je karmić będziemy, to one się stąd nigdy nie wyniosą. (*kopie imbryki przyniesione przez Basię*)

BASIA

Tadziu, ja cię proszę. Ty masz przecież dobre serce, ja wiem. (*Tadzio depcze jadło*) Nieładnie postąpiłeś, Tadziku, bardzo nieładnie. Ser... biszkopty... Czy upiora biszkoptem nakarmić to grzech? Gdy my biszkopty jemy... Czy upiór biszkopta zjeść już nie ma prawa?

Wchodzi Lutek. Jest bardzo zaaferowany.

LUTEK

Gdzie jest profesor, pani docent? Szukam go od godziny.

TADZIO

A, Lutek. Cześć, jak się masz. Basia mówiła mi, że tu jesteś. I dobrze, że jesteś. Mam z tobą do pogadania. Jest taka jedna sprawa, którą powinniśmy omówić.

LUTEK

Nie sądzę, żebyśmy mieli jeszcze coś do omówienia. Wszystko już chyba sobie powiedzieliśmy, nie? Wtedy, na tym zebraniu. Ja przynajmniej nie mam nic do dodania. No więc gdzie się podziewa ten pani profesor?

PANI DOCENT

Poszedł do wioski, panie Lutku. Walek gdzieś się zawieruszył. Profesor go szuka.

LUTEK

Walek się zawieruszył? Fatalna historia. A z hrabiną już rozmawiał?

PANI DOCENT

Jeszcze nie, panie Lutku.

LUTEK

Ech, naukowcy. Tony papieru zapisują, a jak trzeba zadziałać...

Lutek chce odejść.

TADZIO

Poczekaj, Lutek. Powinniśmy jednak porozmawiać. Ty chyba rozumiesz, że tak dłużej być nie może.

LUTEK

Słuchaj, Tadek, przestańcie mnie wreszcie męczyć, dobrze? Powiedziałem już Baśce, że nie zamierzam się przed nikim tłumaczyć. Byłem młody, głupi. Czego ty jeszcze chcesz ode mnie? Tyle lat minęło, wyrosły nowe pokolenia. Dlaczego wy wszyscy chcecie, żebym się ciągle przed wami tłumaczył? Przyczepiliście się jak rzep do psiego ogona. To była twoja wina, Lutek. Oszukałeś nas, Lutek. Dlaczegoś ty to robił, Lutek? A co ja takiego zrobiłem? Że tego twojego dziadka... No więc dobrze, ten twój dziadek to był fajny facet, zacny obywatel ziemski, nie lał chłopów kańczugiem, nie wyrzucał z czworaków na mróz starców i kalek, nie obracał na sianie fornalskich żon i córek. I nie miałem racji, oskarżając tego twojego dziadka... i ciebie... Zadowolony jesteś? Chcesz, żebym przed tobą uklęknął? Żebym cię w rękę pocałował? Dawaj, pocałuję.

TADZIO

Co też ty, Lutek. Ja przecież nie o tym chciałem... I doprawdy nie ma powodu, żebyś się przede mną tłumaczył. Ja nawet myślę, że ty wtedy miałeś wiele racji... bo wtedy trzeba było wiele, może wszystko zmienić... i dobrze się stało, że tak wiele się zmieniło... Choć może te twoje metody... Mniejsza zresztą o to, Lutek. To były inne czasy, byliśmy młodzi... Uwierz mi, nie mam do ciebie pretensji. Zapomniałem i dobrze mi z tym. Ale ja nie o tym...

LUTEK

Nie o tym? No to o czym? Jeśli ty, Tadek, nie chcesz mnie wysłuchać, jeśli nie chcesz mówić ze mną o tym, co ja ci zrobiłem, to o czym tu jeszcze mówić? Ty mną gardzisz, tak? Nie zaprzeczaj, wiem to. Ja się przed tobą kajam, usiłuję ci wytłumaczyć, chcę cię uświadomić, żebyś coś wreszcie pojął z tej mojej tragedii, a ty na to wszystko plujesz... plujesz na tę tragedię, która, wiedz to, ty nieświadomiona miernoto, jest tragedią całej liberalnej inteligencji... ideowej inteligencji... największą tragedią tego wieku... wieku ideologii...

TADZIO

A dajże mi spokój, Lutek. Cóż mnie te twoje tragedie... Szanuję, owszem. Ale sam musisz dać sobie z tym radę. Ja o czym innym chcę z tobą pomówić. Chodzi o te upiory, Lutek. Ty, jak sądzę, masz na nie jakiś wpływ... pewnie nawet znaczny wpływ. Zawsze byłeś człowiekiem aktywnym, posiadającym dar przekonywania. To, co się nazywa charyzmą, wiesz. Zawsze chciałeś być pierwszy, chciałeś przewodniczyć... pamiętasz, jak mnie przekonywałeś, że trzeba głosować na siebie samego, że nie ma w tym nic żenującego, kiedy ktoś sam na siebie głosuje... no i wygrałeś wtedy te wybory, jednym głosem... byłeś pierwszy. Więc nie wątpię, że i tutaj, wśród nich...

LUTEK

Powiedzmy, że tak jest. Co prawda tu się nie głosuje. Ale owszem, staruszkowie mnie szanują.

TADZIO

Więc mógłbyś mi pomóc, Lutek. Zawsze chciałeś wszystko przekształcać, przemieniać... Pragnąłeś zmienić kształty zastane... chyba się nie zmieniłeś... i zgodzisz się ze mną, że jeszcze wiele trzeba tutaj zmienić. Czekam tu cholerna robota, Lutek. Muszę zburzyć czworaki, postawić nowe. Wiesz, chciałbym, żeby miały takie duże okna... w ogóle dużo szkła, jak najwięcej szkła, żeby w pokojach było dużo nieba. Trzeba też zmienić poszycie, wymienić dachówki... Patrz, jak się sypią. A może by tak, jak myślisz, Lutek, szklany dach położyć? Rynny też muszę zmienić, bo woda po ścianach się leje. A czuję, że te upiory mogą

mi przeszkodzić... chciałyby mi przeszkodzić... Lubią one takie stare, zmurszałe budowle... a ja ten dwór jeszcze w tym roku chciałbym przebudować. Więc gdybyś zechciał użyć swojego wpływu... żeby te upiory mi się tu nie kręciły.

LUTEK

Mam być twoim ekonomem, tak? Włóżysz mi harap w łapę i będę gonił te biedne upiory, kiedy wejdą w szkodę? O nie, mój szlachcicu. Na to nie licz. Pewnie, że trzeba tu wiele zmienić. Ale przede wszystkim trzeba zmienić takich jak ty. Takich łajdaków, którzy nie szanują naszej przeszłości, naszych tradycji. Ja ci coś powiem, Tadek. Albo ty się zmienisz i zaczniesz respektować liberalne tradycje naszego społeczeństwa i niezbywalne prawa ludzkie tych biednych upiorów, albo będziesz musiał pójść stąd precz. Pojmujesz? No to wybieraj.

TADZIO

To znaczy, że mi nie pomożesz? Myślałem, że ty... Ale widzę, że ty znów głosujesz na siebie samego. Bóg z tobą, Lutek. Dam sobie jakoś radę bez ciebie.

LUTEK

Ostrzegam cię, Tadek. Już my takich jak ty potrafimy...

TADZIO

Kiedys już mi to mówiłeś. Nazwałeś mnie wtedy upiorem przeszłości. Ciekawe. Proszę ze mną, Basiu. Widły są w oborze. Będziesz wyrzucać gnój. Ja kierat muszę naprawić.

BASIA

Ale jakże ja w tej sukni... i w tych pantofelkach.

TADZIO

A choćby i w tej sukni. Pani też mogłaby nam pomóc. Ale pani pewnie pracą rąk się brzydzisz?

Tadzio wychodzi.

PANI DOCENT

Cham jakiś. Ja bym miała mu gnój wyrzucać z obory... żeby on w tym gnoju jak wieprz mógł się tarzać. Wieprzowaty wieprz... coś dziwnego, że poza wieprzowatością życia nic go nie pociąga? Jakie to szczęście, że są jeszcze upiory na świecie.

BASIA

Tadzio ma rację, Lutek. Powinieneś nam pomóc. Kiedyś przecież wszyscy troje marzyliśmy, że staniemy w trójkę... z łopatami, z widłami, z kilofami... A ty go teraz, kiedy on tak ciężko pracuje, szlachcicem nazywasz. Jak ci nie wstyd, Lutek?

LUTEK

Poczekaj, Baśka. Chciałbym ci coś zaproponować. Nie wiem, jak to powiedzieć... Ale wydaje mi się... Byłoby chyba lepiej dla ciebie... Nie chciałbym, żeby ci się coś przydarzyło... Chodzi mi o ciebie, zrozum...

BASIA

No szybciej, Lutek. Tadzio będzie się na mnie gniewał.

LUTEK

Zostań moją żoną. Nie masz innego wyjścia.

BASIA

Co?

LUTEK

Chyba mówię wyraźnie. Zostań moją żoną. Ten twój Tadek... Sama wiesz, jaki on jest. Pieprzony inteligent. Nie da sobie z nimi rady, to jasne. A jako moja żona będziesz tu całkowicie bezpieczna. Żaden z nich nie ośmieli się zrobić ci krzywdy. No co się tak na mnie patrzysz? Nie widziałaś upiora?

PANI DOCENT

Oświadczyń z za grobu. Jakie to fascynujące. Profesor mi chyba nie uwierzy, kiedy mu opowiem.

LUTEK

No jak, decydujesz się? Mówże. No powiedz coś, Baśka.

BASIA

Ja. Żoną. Twoją. No nie, tego się nie spodziewałam. Ty masz pomysły, Lutek. I myśmy z Tadzikiem serio cię traktowali. A ty się oświadczasz. Ty. Mnie. A może byś poprosił o rękę panią Haneczkę? Chciałaby pani za niego wyjść, pani Haniu? Pa, Lutek. Tadzio się uśmieje. Do kościoła masz przyjść we fraku, pamiętaj.

Basia wychodzi.

LUTEK

Idiotka. Ja się oświadczam, a ona się śmieje. Wtedy, w tym stogu, kiedy jej powiedziałem, że się pobierzemy, też tak się śmiała. Wie pani, to dziwne. Każdego mężczyznę można jakoś przekonać, uświadomić, zmienić. A kobiet nie można. Tłumaczysz takiej... a ona tylko na ciebie tak patrzy... jakby o czymś innym myślała.

PANI DOCENT

Pan powinien się leczyć, panie Lutku. Ma pan nerwy w fatalnym stanie. Poproszę profesora, to zapisze panu jakiś środek uspokajający. Po co pan się oświadczał tej gąsce? Nie mógł pan poczekać? Ustaliliśmy przecież, że wprzód doprowadzimy do tej schadzki... i dopiero potem pan...

LUTEK

Poniosło mnie. Nerwy mam rzeczywiście zszarpane. Ma pani coś na serce? Czy to nie są bóle przedzawałowe? Tacy jak ja wysiadają zwykle przed pięćdziesiątką, zdarza się, że i koło czterdziestki. Wystarczy poczytać nekrologi. Myślałem, że ma już dość tego Tadzia... Ale jeszcze nic straconego. No gdzie jest ten pani profesor? Hrabina pewnie jeszcze śpi. Zawsze sypia do południa. Trzeba ją obudzić.

PANI DOCENT

Nie wiem, gdzie ona leży, panie Lutku.

LUTEK

Tam, pod tą płytą z czarnego marmuru. Niech pani tam zastuka, a ja poszukam profesora. Mam być we fraku... A cóż to za nowe obyczaje? To już w swetrze do ołtarza iść nie można? I skąd ja wezmę frak? Może Kamilek mi pożyczycy?

Lutek wychodzi. Pani Docent stuka w płytę, pod którą leży Amelia.

PANI DOCENT

Pani hrabino. Proszę mi wybaczyć, że niepokoję. Niech się pani obudzi. Pani Amelio. Już południe, pora wstawać. (*Pani Docent trzepocze rękami i krzyczy, naśladując koguta*) Kukuryku. Kukuryku.

Płyta nagrobna unosi się i z grobu wstaje Amelia. Jest w czarnym czepeczku i w czarnym peniuarze lub szlafroku. Zdejmuje czepeczek i zaczyna się czesać. Potem w czasie rozmowy z Panią Docent będzie robiła makijaż.

AMELIA

To pani tak piała? Naszej płci przystoi raczej gdakanie. Umie pani gdakać?

PANI DOCENT

Nigdy nie gdałam. Pan profesor chciałby...

AMELIA

To niech pani zagadacze. No, słucham.

PANI DOCENT

Pani wybaczy, pani hrabino, ale...

AMELIA

Proszę gdakać. Ja nie zwykłam prosić, dobra kobieto. Gdacz.

PANI DOCENT

Kod-kodak. Kod-kodak. Profesor chciałby pani przekazać...

AMELIA

Gdakać.

PANI DOCENT

Ko-ko-ko-kod-kodak.

AMELIA

Dziękuję, bardzo pani miła. Lubiłam, wie pani, wychodzić rankiem na ganek mojego dworu i rozsypywać ziarno wśród ptactwa. Kury, perliczki, gęsi, gdacząc i gęgając, zbiegały się ku mnie ze wszystkich stron. Kaczuszki, kurczątka, takie ma-lutkie, zaplątywały się w koronkach mego dezabilu... białego dezabilu... Chodziłam wtedy w bieli, zawsze w bieli... w białych rękawiczkach, z białą parasolką... albo w białych bryczesach... Pamiętam, stałam nad stawem z białą parasolką, kiedy Tadzio nagle wychynął z sitowia... w białej koszuli, zaplamionej krwią... był ranny mój Tadzik... potem darłam szarpie... białe bandaże, na nich krew czarna, zakrzepła... No więc cóż ten pani

profesor? Pewnie chce, żebym mu powiedziała, ilu poetów z klubu młodych pisarzy wiejskich zastrzeliło się przeze mnie w tym roku. Ani jeden, droga pani docent. I już nikt nigdy nie zastrzelił się z miłości do mnie, nie obawiajcie się. Nic im nie grozi, tym młodym poetom, bohaterom naszych czasów.

PANI DOCENT

Któż by się przejmował losem tych przyszczatych poetów, pani hrabino. Niech sobie strzelają w łeb, przyszłość i tak osądzi ich surowo. Chodzi o coś innego. Profesor rozmawiał z panem Tadeuszem i pan Tadeusz, o ile wiem, chciałby...

AMELIA

Proszę nie wymieniać przy mnie tego imienia. Niech mi pani potrzyma lusterko. Nie tak... o, tak.

PANI DOCENT

Gdybym to ja miała takie piękne włosy. Myje pani szamponem jajecznym? Czy piwnym? Bo ja piwnym. Pan Tadzik, zdaje się, bardzo żałuje, że tak się wczoraj niegrzecznie zachował. Błagał profesora, żeby się za nim u pani wstawił...

AMELIA

Zdrajca. Nie chcę o nim słyszeć.

PANI DOCENT

Gdyby chciała mu pani wyznaczyć spotkanie... stawi się niezawodnie.

AMELIA

Ani słowa więcej. A włosy radzę pani myć w deszczówce. Ja tak robię i proszę: nie mam ani jednego siwego włosa.

PANI DOCENT

Ja na pani miejscu jednak bym mu przebaczyła. Bo jeśli się rozmyśli... W pani wieku... małe ma pani szanse...

AMELIA

A cóż to za impertyncje? Szkoda, że nie kazałam pani zbierać ziaren na grobach. Kwoka jakaś. Proszę się stąd oddalić.

Wchodzi Profesor.

PROFESOR

Witam panią hrabinę. Jak pani dziś spała?

AMELIA

To pan nasłał na mnie tę pańską upiorną asystentkę? Wiem, że pan. A cóż to za natrętna, jak źle wychowana osoba. Pojmuję, że społeczeństwo musi ewoluować i przeciw ewolucjom tym nigdy nie występowałam, ale jeśli ewoluując, pozwala ono awansować takim osobom... no nie, to ja jestem przeciw ewolucji.

PROFESOR

Czyżby doszło do jakiejś kontrowersji między damami? (*do Pani Docent*) Niech się pani stąd zabiera. Proszę iść i poszukać Walka. Nigdzie nie mogłem go znaleźć.

PANI DOCENT

Ależ ja tylko prosiłam panią hrabinę, żeby...

PROFESOR

Niech pani już idzie. Całkowicie rozumiem uczucia pani hrabiny. We mnie też ten okropny człowiek budzi żywe obrzydzenie. To łajdak, który rości sobie jakieś prawa... ma jakieś nieczne zamiary...

Pani Docent wychodzi.

AMELIA

Mówi pan o Tadeuszkę? Wolałabym, żeby mimo wszystko wyrażał się pan o nim z nieco większym szacunkiem. Znam Tadeuszka od lat i choć bardzo mnie wczoraj pokrzywdził, jestem pewna, że się nic nie zmienił. To dobry, z gruntu dobry i poczciwy chłopiec.

PROFESOR

Mimo to uważam, że nie powinna się pani z nim spotkać, hrabino. Zranił panią wczoraj, mógłby zranić raz jeszcze i nawet dotkliwiej. Błagał mnie on co prawda, żebyśmy wyjednał mu to spotkanie, ale odmówiłem, stanowczo odmówiłem. Płakał, klęczał przede mną. Byłem jednak nieubłagany. Wiedziałem, że pani i tak się nie zgodzi.

AMELIA

Tadeuszek płakał? Pan chyba żartuje. Tadeuszek nigdy w życiu jednej łzy nie uрониł. Choć dusza w nim skowyczała, choć serce w nim łkało. Ale nie zapłakał. To prawdziwy mężczyzna, drogi profesorze.

PROFESOR

A jednak płakał. Skrzywdziłem hrabinę, mówił, okrutnie skrzywdziłem, ale cóż mogłem uczynić, profesorze. Basia. Ba, Basia... Myślę, że on skrycie panią kocha. Tylko boi się Basi.

AMELIA

Mój Tadeuszek nigdy nikogo się nie bał. Choć ta Basia... Musi to być osóbką z charakterem. Nie jestem, jak panu wiadomo, lękliwa, niełatwo mnie stropić, spieszyć, ale kiedy spojrzała na mnie... a w oczach ma takie świderki, żmijka mała... Wyznam miłemu panu, że dreszcz jakąś dziwnie przejmującą uczułam. Więc jeszcze kocha... Nie, ja w to nie wierzę. Kocha tę Basię. Tę swoją śliczną Basieńkę. Jakże on musi się z nią męczyć. Zawsze lubił brunetki, a musi żyć z blondynką, biedny Tadeuszek.

PROFESOR

Nie powiedział mi, rzecz jasna, wprost, że pani jesteś przedmiotem jego cichych westchnień. To, zdaje się, człowiek skryty, do zwierzeń nieskory. Ale te łzy, te spojrzenia, te paznokcie pogryzione powiedziały mi wiele... wszystko. Tak, on panią kocha. Od chwili, kiedy panią tu ujrzał, widzę to, miejsca sobie znaleźć nie może. Chodzi zamyślony, zaszępioty, to do obory zajdzie, to do stajni zajrzy. Ale nic go nie cieszy.

AMELIA

Przyjdzie tu?

PROFESOR

Jeśli pani pozwoli.

AMELIA

Nie chcę. Proszę mi powiedzieć, że nie życzę sobie, że zakazuję mi. Kiedy przyjdzie?

PROFESOR

W chwili, którą pani uznasz za stosowną.

AMELIA

Niech przyjdzie wieczorem. Kiedy ta jego Basia już spać się położy. Ileż to jeszcze godzin do wieczora. I cóż ja będę do wieczora robić... sama... z tęsknoty chyba bym umarła... Mógłby przyjść zaraz?

PROFESOR

Jeśli pani każeś. Idę po niego.

AMELIA

Nie. Niech nie przychodzi. Albo idź pan. Stój, poczekaj. Czegóż on chce? Cóż ja mu mogę ofiarować? Ja jestem widmem, zjawą, ach, upiorem. Spójrz pan na moją twarz. Przypatrz mi się z bliska. I cóż, zadrżałeś, drogi profesorze? Gdybyś pan wiedział, ile ja rózu muszę położyć każdego ranka... ile szminki... Mogę ci wyznać, nie jesteś przecież mężczyzną, jesteś naukowcem. Abramek dostarcza mi co miesiąc pięć pudów rózu. A za pud z dostawą każe sobie płacić cztery ruble szesnaście kopiejek. Sam pan teraz oblicz, ile mnie kosztuje utrzymywanie się przy życiu. Jeśli to życiem jeszcze nazwać można...

PROFESOR

Pięć razy cztery i szesnaście setnych... Wydatek rzeczywiście niemały. Ale kiedy poślubi pani, droga hrabino, pana Tadeusza, Abramek rózu nie będzie już pani musiał dostarczać. Odprawi pani tego wstrętnego lichwiarza. Krew znów popłynie w pani żyłach, pani ramiona, pani policzki, te śliczne rączęta znów odzyskają naturalną barwę... rumieniec znów okrasi te pobladłe lica...

AMELIA

Poślubię Tadzia? Co pan... co pan opowiada, profesorze? Jakże to można żartować tak okrutnie. O, pan mnie krzywdzisz takimi żartami!

PROFESOR

Nie ma mnie pani chyba, droga pani Amelio, za rajfura, co aranżuje potajemną schadzkę, w czasie której ten pan Tadzio mógłby zaspokoić najniższe instynkty... zwierzęce instynkty... aby potem znów odejść... być może na zawsze. Nigdy bym na to nie pozwolił. Ma on, zapewniam panią, poważne zamiary. Przysięgał mi, klęcząc... Tylko dlatego wstawiam się tu za nim.

AMELIA

Ale ja... ale on... O nie, to żart jakiś, żart niecny, profesorze. Jakże on z umarłą... jakże ja z żywym... Cóż nas łączyć może?

PROFESOR

Ależ pani żyć będziesz... powrócisz do życia... Wszystkie moje eksperymenty wskazują, że tak właśnie się stanie. Jeśli cię kocha, jeśli jest kochany... to stać się musi. Pomyśl, droga hrabino. Będziecie razem mieszkali w tym dworze. Kiedy on rankiem będzie na folwark wyjeżdżał, ty, stojąc na podjeździe, będziesz go żegnała. Pomyśl: z białą chusteczką w dłoni, w białym kapeluszu. Będziecie wydawali bale, przyjmowali gości. Kocze i kabriolety znów będą zajeżdżać przed ganek. Będziesz pani do rana tańczyć... w białej sukni.

AMELIA

Dłoń w białej rękawiczce położę mu na ramieniu. Białą wstążką zwiążę włosy. Pan śni, drogi profesorze. Oboje my śnimy. Cóż będzie z Basią? Toż oni ślub wzięli.

PROFESOR

Drobiazg, podamy o rozwód. Basia wróci do miasta.

AMELIA

A jeśli nie zechce? Jeśli nie da mu rozwodu?

PROFESOR

Ależ da, zechce. Już moja w tym głowa. Idę po niego. Czy mogę... czy może liczyć, że będzie dobrze przyjęty?

AMELIA

Nie odbieraj mu pan nadziei. No idź już. Muszę się przebrać. Nie może mnie zobaczyć w czarnym peniuarze.

Amelia znika w grobie.

PROFESOR

Świetnie. Znakomicie. Nauka, moi państwo, nie może ograniczyć się do teoretycznych rozważań, bowiem rozważania te są całkowicie jałowe, jeśli nie powodują określonych skutków w naszym życiu. Badając życie upiorów, musimy więc mieć na

uwadze praktyczne skutki naszych badań, jako że badania te, drodzy słuchacze, wywołują pewne nieodwracalne skutki, a jednocześnie dzięki tym skutkom mogą się rozwijać. Manipulując życiem upiorów, wnikamy głębiej w to życie, co umożliwi nam dalsze manipulacje. Nauka, która nie manipuluje, nie jest godna miana nauki. Jeśli tak samo łatwo pójdzie mi z tym Tadziem, to jesteśmy na najlepszej drodze do skojarzenia... Był tylko Walek się znalazł. Gdzie ta bestia mogła się podziać?

Wchodzi Kamil. Wije wianek z bławatków.

KAMIL

Dobrze, że pana widzę, profesorze. Byłem w dąbrowie i tam, rozmyślając, doszedłem do wniosku, że tylko pan możesz zapobiec... pan jesteś człowiek z autorytetem...

PROFESOR

Śliczny wianuszek. Dla kogo to? Dla Basi czy też dla hrabiny?

KAMIL

Jeszcze nie wiem. Obu chciałbym ofiarować. Ten jednak będzie chyba dla Amelii. Dla pani Basi nazbieram pierwiosnków. Ona jak wiosna lekką nóżką biega po cmentarzu, a pierwiosnek to najrańszy wiosny naszej kwiatek. Ale posłuchaj pan, bo ważną mam sprawę. Jenerał z porucznikiem uknuli, wie pan, taki niecny spisek. Myślą zamordować tego biednego pana Tadeusza, usidlić panią Basię. Uważam, że pan powinieneś w to wkroczyć. Poradź temu panu Tadziowi, żeby zabrał stąd żonę i niechże wyjeżdżają czym szybciej. Mnie on nie usłucha, mógłby mi nawet przyłożyć harapem, ale panu, człowiekowi poważnemu, godnemu, z pewnością uwierzy. Mógłbyś pan też pomówić z jenerałem. Może się opamięta...

PROFESOR

A to ciekawa wiadomość. Jenerał, mówisz pan, myśli zamordować?...

KAMIL

A tak, tak. I krew chcą wypić. Krew... jak sny nasze wiosenne spienioną... Musi pan temu zapobiec, profesorze.

PROFESOR

Moglibyśmy więc siły nasze połączyć. Gdy cel mamy wspólny, cóż stoi na przeszkodzie. Muszę pogadać z generałem. *(do Kamila)* Zapobiegnę temu, oczywiście, że zapobiegnę. To mój obowiązek. Niech się pan nie trapi, wszystko będzie dobrze. Zaraz pomówię z panem Tadzkiem. Nie myśl pan o tym więcej, zbieraj sobie kwiatki. Prześliczny ten wianuszek. Uwij pan i dla mnie.

KAMIL

Dziękuję, profesorze. Wiedziałem, że nie zawiodę się na pana. Trzeba przecież łączyć, nie dzielić. Trzeba też oswajać, racjonalizować. Bo jak się nie będzie racjonalizować, to zagryzą. A z jakich pan życzyłby kwiatków?

PROFESOR

Co z jakich kwiatków?

KAMIL

Ten wianuszek dla pana. Może z niezabudek?

PROFESOR

Uwij pan z lwich paszcz.

Profesor wychodzi.

KAMIL

Pójdę więc, pozbieram. Kilka lwich paszcz mógłbym wpleść też między te bławatki... Wielka to ulga zdać wszystko na takiego zanego człowieka jak ten nasz profesor. Z pewnością zdoła on zapobiec... przekona generała, usposobi do nas przychylnie tego pana Tadzka... no i wszystko jakoś się ułoży... Będziemy tu żyć razem... Mogę nawet karmić te perliczki... cóż w tym wreszcie złego? Duch, co drobiu nie karmił ni razu... czy ku górze może szczeblować?

Z grobu wylania się Amelia. Jest w białej sukni i w białym kapeluszu. Rozkłada białą parasolkę.

AMELIA

A, Kamilek. Nie było tu Tadzika? Powinien się już zjawić. Nigdy nie kazał mi czekać... stawał się zawsze na każde wezwanie.

A cóż ty mi się tak przyglądasz, mój drogi? Rozdziawiłeś usta jak parobek jaki, co ciele o dwóch głowach zobaczył w oborze. Uważaj, bo połkniesz tego tam motylka. Bądź tak dobry i pomóż mi zapiąć tę suknię. O tam, na plecach. Zrobiła się trochę przyciasna. Bo ja chyba nie utylam, przestrzegam przecież diety... A może jednak utylam? Lata robią swoje. No ruszże się, gapo. Tam powinna być haftka, widzisz ją?

KAMIL

Amelio, ty... Ale jakże to? Ty przecież przysięgałeś, że do końca życia... że wieczność całą będziesz chodziła w żałobie...

AMELIA

A dlaczegoż to miałabym chodzić w żałobie? I jeszcze całą wieczność? Cóż to za głupie pomysły? Nie pamiętam, żebyś składała taką przysięgę. Chyba się przesłyszałeś, mój drogi Kamilku.

KAMIL

Przysięgaliśmy oboje... że nigdy nie przestaniemy opłakiwać... że będziemy płakali, pokąd łez nam starczy...

AMELIA

Jakiś ty okrutny, Kamilu. Jakże mogę płakać, kiedy chce mi się śmiać... śpiewać... tańczyć... Spójrz, jaki piękny mamy dzisiaj dzień. Ile kolorów, ile słodkich woni jest w naturze. Czy mam prawo te kwiaty, te barwne motyle zasmucać moją czarną suknią... czy mogę oblewać je łzami? Zapnijże mnie wreszcie. O tak, dziękuję. I popraw kokardę. I jak mi jest w tej sukni? Czy ci się podobam?

KAMIL

Nie wiem... doprawdy nie wiem... czy to się godzi? Masz już swoje lata...

AMELIA

A nieładnie, Kamilku. Nie wypomina się kobiecie... To prawda, że nie jestem już podlotkiem, jakąś Basią czy Asią, jakąś głupią świergotką, bezzcelną idiotką, ale nie znaczy to chyba, że nie mam już prawa... Mniejsza zresztą o to. Idźże już sobie, mój panie. Nie mam zamiaru wysłuchiwać... i nie widzę powodu, żebyś mi wypominał... No idźże już, idź.

KAMIL

Nie pojmuję jednak, Amelio, dlaczego... właśnie dziś... po tylu latach żałoby...

AMELIA

Nie podobam ci się w tej sukni, więc nie ma o czym mówić. Idźże sobie stąd. I bardzo proszę, nie kręć się tu teraz. Chcę zostać sama, pojmujesz? I żebyś mi się nie chował gdzieś w łopianach, nie podpatrywał... nie życzę sobie...

KAMIL

Ach, więc to tak. Teraz pojmuję. Czekasz tu na niego. Czy tak, Amelio? Masz z nim tutaj schadzkę. Ty z nim. O, co za łotr. Uwodziciel. Podrywacz. Rozpruwacz. A ja mu przed chwilą życie ocaliłem. Umówiłaś się z nim tutaj, tak? Ma tutaj przyjść? A może już był? No mów, odpowiadaj. Uwiódł cię, jesteś jego kochanką? Zdradziłaś mnie... zdradzasz... podła, o podła. Spalaś z nim, tak? Odpowiadaj. Ja żądam.

AMELIA

A cóż to? Scena zazdrości? A jakim to czołem, mój panie, żądasz ode mnie wyjaśnień? I jakim prawem rzucasz na mnie takie podejrzenia, nieczne podejrzenia? A choćbym z nim spała, to co ci do tego? Nie jesteś moim kochankiem, nigdy nim nie byłeś... jakże więc możesz mnie oskarżać, że cię zdradziłam, zdradzam?

KAMIL

A więc mnie zdradziłaś. Błagam cię, przyznaj się, Amelio... ja to wiedzieć muszę...

AMELIA

Nie chcę cię dręczyć... Wcześniej czy później i tak dowiesz się wszystkiego. Tak, mam się z nim tu spotkać... z tym moim łotrem, z tym słodkim łotrzykiem. Ale nie desperuj, drogi Kamilku. Jeszcze się nie zdecydowałam, a i on jeszcze wyraźnie się nie zdeklarował. A jeśli nawet już się zdeklarował, kto wie, czy nie będzie musiał się wycofać? Choć nie sądzę, bo to człowiek, który jeszcze nigdy się nie cofnął. Jeśli jednak ta Basia nie da mu rozwodu... ba, Basia...

KAMIL

Basia... rozvodu... nie da? O czymże ty mówisz? Więc ty... on... ty i on...

AMELIA

A tak. Zamieszkamy w tym dworze. Teraz pojmujesz, dlaczego zrzuciłam żałobę. Nie mogę przecież pojechać do kościoła w czerni.

KAMIL

Ależ to... Ty chyba oszalałaś... On przecież jeszcze żyje... i nie ma jeszcze czterdziestki... więc szybko nie umrze...

AMELIA

Ja także żyć będę. Profesor mnie zapewnia, że to nieuniknione. A choć z pewnością nie będzie mi łatwo... bo już wiele zapomniałam, oboje zapomnieliśmy, jak tam jest, Kamilku... no cóż, muszę spróbować... jeśli Tadzio żąda.

KAMIL

Ty się łudzisz, Amelio. Ten Tadzio, ten profesor... ktoś cię oszukuje...

AMELIA

Nie sądzę, Kamilku. Tadzio mnie kocha... zawsze mnie kochał... i po cóż wreszcie miałby mnie oszukiwać? Chce, żebym żyła, a więc będę żyła. Nie mam do ciebie pretensji, Kamilu, ale myślę, że pochowaliście mnie zbyt już pochopnie. Zamiast mnie oplakiwać, zamiast jesienią przyprowadzać dzieci na mój grób, zamiast ogłaszać całemu światu, że oto umarłam i nigdy już z grobu nie wstanę, trzeba było postąpić właśnie tak jak Tadzio. Bo miłość wiele może, a tak, mój poeto. A tyś mnie kochał... ale tylko jak siostrę, jak umarłą siostrę. Tadzio kocha inaczej... tę, co będzie żyła.

KAMIL

Jakże wy żyć będziecie... I cóż to za życie, i co za miłość... między umarłymi. A tak, Amelio, między umarłymi, bo on, ten twój Tadzio, to jest człowiek, co umarł, i ty, kiedy ożyjesz, to też jak on umrzesz. Bo jeśli ktoś tu żyje, to my, Amelio, właśnie my, a oni, ci żywi... oni dawno umarli... to trupy bezduszne. Czymże jest życie, Amelio, czy wiesz, czym jest życie?

AMELIA

I po cóż o to pytać?

KAMIL

Otóż życie, droga moja Amelio, zasadza się na pewnych poruszeniach ducha i tylko te poruszenia, te duchowe poruszenia ducha mogą być i są fundamentem duchowego życia, czyli wszelkiego życia, czyli życia, co jest duchem, czyli życiem właśnie. Te to duchowe poruszenia poruszają ducha, a duch, poruszając się, czyli niejako rewolucjonizując lub też, jeśli wolisz, ewoluując, przekształca się i emanuje z siebie wszelkie formy życia... i kształty wszelkie... i wszelkie społeczne struktury. Przejdźże się choćby po naszej dąbrowie. Ile tam życia, Amelio, ile także ducha. Każdy motyl, każdy pierwiosnek, każde źdźbło trawy, nawet i pajęczek lichy... a jak to się porusza, jak to ewoluuje, jak się pilnie trudzi. A co to tak się rusza w tych źdźbłach, w tych pajęczkach? To właśnie duch, Amelio, to on pnie się w górę. A czym czystszy jest ten duch, czym doskonalszy, czym intensywniejszy, tym więcej jest w nim życia. Z tego więc taki oto wniosek, ukochana moja: że my, już tylko duchami będący i po drabinie ducha w górę szczeblujący, intensywniej żyjemy, istotniej żyjemy niżli ci, którzy jedzą, piją, kopulują i po drabinie ducha schodzą w dół... bo oni, schodząc, w śmierć się zanurzają i w pośmiertnym fetorze piją, kopulują. Teraz pojmujesz? Ten twój Tazio to trup, gnijący trup. Nie ma w nim ni krzty ducha... ciągnie cię do grobu... Chodź, pójdziemy do dąbrowy, tam teraz tak pięknie... Będziemy zrywać kwiaty... pierwiosnki ducha naszego... Po cóż miałabyś wiązać się z tym Taziem... wdychać ten odór trupi?... kiedy żyć możesz... A tak słodko jest żyć... duchem wonie duchowe wchłaniać, okiem ducha patrzeć na ducha przejawy... tak mi się chce żyć...

AMELIA

Mnie też, Kamilku. Ale nie takim życiem, o jakim ty marzysz. Bo mnie się zdaje, mój drogi, że w tym, co mówisz, sensu wcale nie ma. Co duchem przeniknięte, to obumrzeć musi... Po cóż zresztą filozofować, kiedy życie wzywa. No idźże już, idź. Pospaceruj sobie w tej twojej dąbrowie, przejdź się nad rzeką. Posłuchaj,

jak tam derkacz nad Narwią terkocze. Pięknie derkacze terkoczą o tej porze roku. Tylko uważaj tam na łąkach. Narew jeszcze nie opadła. Nie przemocz butów... mógłbyś się zaziębić.

KAMIL

A właśnie, że przemoczę. I zaziębię się, tak, zaziębię. Będziecie wszyscy płakali... a ja będę leżał...

AMELIA

Straszny z ciebie dzieciuch, Kamilku. No idź. Kiedy poślubię Tadzia, pomyślimy razem... Może i dla ciebie coś da się zrobić... Mógłbyś zamieszkać z nami...

KAMIL

Wcale mi nie zależy... zaziębię się... umrę...

Kamil wychodzi. Wchodzi Profesor i Tadzio.

PROFESOR

Oto i ona. Spójrz pan, panie Tadeuszu. Cóż to za kobieta. Zostawiam państwa samych.

TADZIO

Basia będzie mi miała za złe to spotkanie.

PROFESOR

Pani Basia o niczym się nie dowie. Może pan polegać na mojej dyskrecji.

TADZIO

Czuję, że źle robię, ulegając panu. I o czym ja mam z nią mówić? Po tylu latach... Nic już nas nie łączy.

PROFESOR

Wystarczy, że okażesz pan jej odrobinę zainteresowania. Nie jesteś pan chyba sadystą, który znajduje rozkosz w cierpieniach kobiety? A ona cierpi, a tak, wiedz pan, cierpi. Prosiła mnie ze łzami, żebym się za nią wstawił u pana... spazmowała... gryzła palce... jakby w gorączce... to choroba nerwów... Tylko pan możesz ukoić, złagodzić... Wystarczy kilka słów. Weź ją pan w objęcia, przytul, pogładź, ucałuj. Pan Tadzio, hrabino, chciałby z panią mówić. No, bądźże pan mężczyzną. Ona ci sprzyja, więc bierz

się od razu do rzeczy. Nie przeszkadzam państwu. A ten Walek niecnota... Gdzie to się zapodział?

Profesor wychodzi.

TADZIO

Pani.

AMELIA

Panie.

TADZIO

Chciałaś, pani, mówić ze mną, oto więc jestem. Uprzednio uważałem, że nie ma potrzeby... Pragnąłem uniknąć wyjaśnień, które z łatwością mogłyby się przemienić we wzajemne oskarżenia. Po tylu latach... Cóż tu jeszcze wyjaśniać... Czas to zrobił za nas. Ponieważ jednak nadarza się okazja, uznałem za stosowne skorzystać z niej, bo może istotnie godzi się wyjaśnić... jeśli coś jeszcze pozostało niewyjaśnione. Pewne wątki domagają się jednak zakończenia. Spróbujmy więc podsumować i zakończyć. Ożeniłem się, pani, ponieważ...

AMELIA

Zawsze ten sam... mój poważny Tadzik. Ale mówże, mówże, nie chcę ci przerywać. Lubię, kiedy tak mówisz. Lubię ten twój głos surowy, ten ton zasadniczy, brwi nastroszone. Zaraz zaczniesz mnie strofować, wiem. Ale strofuj, to także lubię. Tylko niczego mi nie wyjaśniaj, błagam cię, Tadziku.

TADZIO

Sądziłem, że pragniesz, pani, abym ci wyjaśnił...

AMELIA

Ależ nie, nie. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Ja wszystko pojmuję... dawno temu pojęłam... i nie mam pretensji, bo wiem, tak być musiało. Porzuciłeś mnie, wyjechałeś... boś musiał wyjechać. Przestałeś mnie kochać, bo miłość nie trwa wiecznie, bo wszystko się kończy. Ożeniłeś się z inną, bo trzeba było żyć, boś musiał... O nie, nie, ja nie mam pretensji. Jakże mogłabym czynić ci wyrzuty? Mogłam przecież przewidzieć, powinnam była przewidzieć, że przyjdzie taka chwila, kiedy

wszyscy mnie porzucą, wszyscy o mnie zapomną, wszyscy, co niegdyś przysięgali, wyprą się tych przysięg. Bo mnie nikt już nie kocha, nikt, nikt, mój Tadziku. Niegdyś za jeden czarny, za jeden biały kwiat z mego kapelusza gotowi byli strzelać sobie w łeb, umierali z tęsknoty, marzyli latami... A teraz nikt, nikt. Jeszcze niekiedy kwiaty na grób mi przynoszą i kładą te kwiaty, rozglądając się z lękiem, czy ktoś nie widzi. Ale nawet ci, którzy jesienne kwiaty na grobie mi kładą, już nie kochają. Mają żony, dzieci. Mają dorosłe wnuki. Te wnuki nawet mojego imienia nie znają. Nikt mnie nie kocha. Zostawili mnie samą wśród tych upiorów... smutną upiorzycę... choć przysięgali. Ty też przysięgałeś.

TADZIO

Mogę chyba uważać się za zwolnionego... po tylu latach... Szaleństwem byłoby domagać się, żebym nadal... kiedy tyle się wokół zmieniło...

AMELIA

Ależ ja się nie domagam. Jakże mogłabym. Byłeś wtedy niemal dzieckiem... porywczym, naiwnym chłopcem... Pamiętasz te twoje dziecinne przysięgi? Takie śmieszne... Pamiętasz, coś przysięgał w tym chlewiku, w którym cię ukryłam?... kiedy stary Grzegorz przyniósł cię z lasu do mojego dworu... szerniała plamy krwi na białych bandażach...

TADZIO

I po cóż to wspominać, Amelio? Przeżytych kształtów żaden cud... jak to mówią... nie wróci...

AMELIA

Leżałeś na słomie... ranny... w chlewiku... wśród kwiczenia, chrząkania... wśród różowych prosiąt... i krew wsiąkała w słomę... Jakże ty mnie wtedy kochałeś, Tadeuszu miły.

TADZIO

Daremne żale... próżny trud...

AMELIA

A te prosięta, wiesz, wszystkie mi zabrali. Co do jednego. W czasie parcelacji. Takie były rozkoszne, tak słodko kwiczały...

TADZIO

Zawsze ci mówiłem, że trzeba rozparcelować majątek, zanim się zaczną przymusowe parcelacje. Dostałabyś odszkodowanie, a ziemia nadal by rodziła. Chodzi wreszcie tylko o to, żeby siać i zbierać. Siąc i zbierać. A kto sieje i zbiera... czy to ważne? Wszyscy powinni siać i zbierać, żeby dla wszystkich starczyło. Nie chciałaś mnie słuchać... no i doigrałaś się. Sama sobie jesteś winna, więc nie żądaj, żebym ci współczuł. Przepraszam, Amelio. Przewidywałem, że to się skończy na wzajemnych oskarżeniach. Ale doprawdy nie czas już teraz żałować tych prosiąt. Było, poszło. Pewnie, prosiąt szkoda. Pamiętam, jak nade mną kwiczały. Gdyby je dobrze podkarmić, byłyby z nich wspaniałe maciory. Są teraz takie metody, całkiem nowe metody, wiesz... Karmi się sztucznie, wstrzykuje się hormony, krzyżuje się geny. Te genetyczne krzyżówki to jest nasza przyszłość. Nowe mutacje, kombinacje. Myślę po zbiorach kupić kilka holenderskich macior i może coś skombinuję... Na genach co prawda się nie znam, ale sprowadzę podręczniki. Tak, poduczę się i spróbuję. Dziękuję ci za dobrą radę. Trzeba krzyżować, to oczywiste.

AMELIA

I znów będziemy mieli takie różowe prosiaki? O, to byłoby cudowne... ty cudowny mój...

TADZIO

A tak, będziemy mieli. Byle tylko Basia chciała się nimi zająć. Bo rąk do roboty będzie mi brakować. Wybacz mi, Amelio, ale tam ten kierat... Muszę go naprawić... tryby zardzewiały. Myślę, że już wszystko wyjaśniliśmy. I nie będziemy się na siebie dalej gniewać, prawda?

AMELIA

Gdybyś zechciał, Tadziku, to ja bym mogła... Lubię takie różowe prosiątka i chętnie się nimi zajmę.

TADZIO

Co też ty, Amelio. Na prosiakach trzeba się znać. Hodowla to jest fach, zawód. Tego się latami uczyć trzeba. To zresztą ciężka robota, nie dla ciebie. Zniszczyłabyś przy tym twoje śliczne rączki.

AMELIA

Mogłabym robić coś innego. Chciałabym ci się przydać, Tadziku. Nie jestem już taką białorączką jak niegdyś. Wiem, że w czasach, kiedy wszystko tak szybko ewoluuje... pruje do przodu... nie wolno mi stać na uboczu. Chcę ci jakoś pomóc.

TADZIO

Pomóc, owszem, mogłabyś. Gdybyś zechciała... ale nie wiem, czy się zgodzisz...

AMELIA

Już się zgodziłam. Ty tu przecież jesteś panem, Tadeuszkule. Mówże, mój kochany, czego żądasz od swojej Amelii. Ona zrobi wszystko...

TADZIO

Chodzi mi o tych dwóch oficerów. I o tego poetę. Wydaje mi się, że oni coś knują... myślą nam przeszkodzić... Nie chcę postępować z nimi zbyt surowo, nie jestem jakimś okrutnikiem, nie godzi się zresztą obrażać ludzi niewątpliwie zasłużonych... więc gdybyś chciała im przetłumaczyć, żeby sami się stąd wynieśli. Nie mogę się zgodzić na to, żeby tu z nami mieszkali, przyznasz mi chyba rację...

AMELIA

Ależ oczywiście, że nie mogą mieszkać tu z nami. Nigdy bym na to nie przystała. Nakazę im... i na pewno mnie posłuchają. Możesz być spokojny, Tadeuszkule. Nikt ci nie przeszkodzi w tym krzyżowaniu. A ja ci pomogę. Będziemy tworzyć razem nowe mutacje, kombinacje, generacje... Cieszę się już na te nasze wspólne prace w chlewiku, w oborze, chłopcze mój kochany.

TADZIO

Pozwól więc ucałować... Jestem ci naprawdę wdzięczny... To te same perfumy... moja pani konserwatystko...

AMELIA

W tym chlewiku, pamiętasz, też tak do mnie mówiłeś... moja pani konserwatystko...

TADZIO

Bo też straszna była wtedy z ciebie konserwatystka... taka obyczajna, taka staroświecka... zapięta od stóp do głów... Pamiętasz,

jak musiałem mocować się z haftkami... i nie chciałaś mi pomóc...
Mówiłaś, że to nie wypada, żeby kobieta, że mężczyzna powinien
sam... Tych haftek było chyba ze sto... może więcej...

AMELIA

Jednak dałeś sobie jakoś z nimi radę. Taki wtedy byłeś śmiały,
taki zdecydowany... Śmiałości, jak się zdaje, i teraz ci nie brak...

TADZIO

Gdybym nie był zdecydowany, gdybym nie postępował śmiało
ku celowi, który sobie wytyczyłem, nigdy bym nie osiągnął,
Amelio, tego, co osiągnąć zamierzałem... co osiągnąłem... chyba
osiągnąłem... Ileż to lat musiałem się borykać... a to z jakimś tam
konserwatystami, którzy myśleli, że chcę wszystko zniszczyć...
którzy każdą zmianę mieli za katastrofę... kiedy ja chciałem...
chcę tylko wpuścić trochę świeżego powietrza... i nie chcę
niczego niszczyć, rozdzierać, rozrywać... bo nam powoli naprzód
trzeba się posuwać... rozważnie... bez pośpiechu... musiałem się
borykać i borykam się nadal... a to znów z tymi tam liberałami,
co to wciąż krzyczą tylko: „Laissez-faire, laissez-faire”, i zaraz
wszystkim na wszystko chcieliby pozwolić... żeby każdy robił,
co chce, co mu się podoba... a wyniknąłby z tego tylko strasz-
ny chaos, bałagan taki... tego nienawidzę... i myślę, że trzeba
znaleźć złoty środek... znać miarę... i postępować z umiarem...
oczywiście, posuwać się... przeciw postępowi nigdy nie wystę-
powałem... i posuwam się, i postępuję... zdecydowanie, ale
powoli... z namysłem... złoty środek... zawsze o nim marzyłem...

AMELIA

Tam jest jeszcze jedna haftka... pomogę ci... już...

*Amelia – już na wpół rozebrana – i Tadzio staczają się między
chwasty rosnące na którymś z grobów. Wchodzą Basia i Profesor.*

PROFESOR

Mężczyźni koło czterdziestki, droga pani Basieńko, znużeni
codziennymi troskami, których nie brak przecież w życiu mał-
żeńskim, z łatwością, z wielką, niestety, łatwością, nawiązują
nielegalne stosunki pozamałżeńskie... co więcej, sprzeczne z pra-
wami natury stosunki. Obserwacje, które poczyniliśmy w trakcie

naszych badań, wskazują niestety, że te zbrocenia są już niemal normą. Tak to się szerzy... w tempie doprawdy zastraszającym. Kiedy tylko nadarzy się okazja, rozpustni małżonkowie, znudzeni pożyciem z legalnie poślubionymi małżonkami, zadurzają się w upioryzach i z tymi upioryzami, niech pani sobie wyobrazi, obcują cielesnie. Nie chcę pani straszyć, ale zdarza się, że i dzieci z nimi mają. A potem rozwód, podział majątku, alimenty... Ach, kłopoty, wielkie kłopoty, droga pani Basiu.

BASIA

Nie ma pan chyba na myśli mojego Tadzia? No nie, to śmieszne. Nie mówi pan tego serio. Tadzio nie zakocha się przecież w jakiejś upioryzcy... w tej czarnej upioryzcy.

PROFESOR

Nie myślałem oczywiście o pani małżonku. Jak sądzę, nie należy on do tych mężczyzn, którym fizyczne obcowanie z upioryzką może sprawić przyjemność. Choć bo ja wiem... w jego wieku... Mężczyźni dochodzący do czterdziestki szukają, wie pani, nowych podniet... a żona, nawet piękna żona, nie jest chyba w stanie dostarczyć... dostarcza tego, co znane, a to, co znane, zwykle nie wystarcza. Ale pan Tadzio to jednak człowiek normalny. Nie zauważyła pani chyba żadnej skłonności... myślę o którejś z tych zdrożnych, wie pani...

BASIA

Tadzio jest najzupełniej normalny. Jest w normie i nawet tym się chlubi. Choć ostatnio...

PROFESOR

Niechże pani mówi. Gwarantuję całkowitą dyskrecję.

BASIA

To właściwie nic ważnego. Ale ostatnio wydaje mi się jednak nieco dziwny. Szczególnie odkąd tu przyjechaliśmy. Chodzi zamyślony, jakby nieobecny. Wciąż mnie strofuje. Nawet kilka razy już na mnie krzyknął. Nigdy tego przedtem nie robił. No i ciągle się przechwala tą swoją normalnością. To dość podejrzane, prawda? Kto się przechwala, że jest taki normalny, ten może być nienormalny. Na pewno jest nienormalny. Wczoraj

zażądał ode mnie, żebym przestała nosić te białe rajstopy, bo to go już nie bawi. Mam sobie kupić czarne. Czy to jest normalne?

PROFESOR

A potem alimenty... kłopotów moc. Ale myślę, że jeszcze nie jest za późno i zdołamy zapobiec. Niechże pani spojrzy. Tam, w tych łopianach. Coś tam się rusza. Pewnie któryś z naszych upiórów uciał sobie drzemkę i mrówki, które właśnie się budzą z zimowego snu, oblaży biedaka. Taka mrówka, kiedy wejdzie do ucha lub do nosa, może ugryźć boleśnie, wsączyć jad mrówczy groźny i dla życia. Jest taki jadowity gatunek, znany zresztą nie tylko tu, nad Narwią, bo spotyka się te mróweczki także i nad Niemnem. Któż to być może? Trzeba go obudzić. O nie, niech pani nie podchodzi. To... to... no nie, coś podobnego. Wróćmy do domu, tam porozmawiamy.

BASIA

Ależ, profesorze...

PROFESOR

To nie jest widok dla pani oczu. Chodźmy stąd. Błagam panią, pani Basiu.

BASIA

Proszę mnie puścić, profesorze. Nie zamierzam żyć ze zbrodźcem, muszę więc wiedzieć... A!

PROFESOR

Niech się pani zapnie, hrabino. Pozwoli pani, że jej pomogę. Nie chcę moralizować, moi drodzy, ale chyba posunęliście się za daleko. Są pewne granice... i nic nie może usprawiedliwić... Jestem naukowcem i nie czuję się powołany do osądzania czy potępienia, nie mogę jednak pozostać obojętny... Wstyd, moi państwo. Doprawdy, wstyd wielki.

TADZIO

Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, Basiu... Gawędziliśmy z panią Amelią... wspominaliśmy... jak to starzy znajomi, co się zjeżdżają po latach... bo wiesz, znaliśmy się kiedyś... zapomniałem ci o tym powiedzieć... no i zagadaliśmy się... Pozwól, że ci przedstawię...

BASIA

Zechcesz, mój panie, wyjechać stąd dzisiaj. Twoje walizki będą na ganku. Zaraz je spakuję.

TADZIO

Ależ, Basiu... pani Amelia i ja... I cóż może być złego w takiej pogawędce... Chciałbym ci przedstawić... to moja stara znajoma...

BASIA

Dwór, jak pamiętasz, zapisany jest na moje nazwisko. Spłacę ci oczywiście tę sumę, którą włożyłeś w kupno. Mój adwokat porozumie się z tobą.

AMELIA

Tam jest jeszcze jedna haftka, profesorze. O tam. Dziękuję. Wiem, że to niełatwe dla ciebie, moje dziecko, musisz jednak pojąć, że po prostu nie pasowaliście do siebie. Tadzik lata wysoko i potrzebuje kogoś, kto mógłby z nim latać, kto umiałby się wzbąć tak jak on, wysoko. Dla jego więc dobra, jeśli naprawdę go kochasz, powinnaś...

BASIA

Cmentarz każę jutro zaorać. Żegnam, mój panie.

Basia wychodzi.

TADZIO

Basiu... Basińko... myśmy tylko gawędzili... stójże... poczekaj...

Tadzio wybiega za Basią.

AMELIA

Tadeuszk, ty nie myślisz chyba... Bo jeśli znów mnie porzucisz, to ja... to biada tobie... tyś mój... mój mąż... mój mąż...

Amelia wybiega za Tadzkiem.

Z łopianów wychodzą Lutek i Pani Docent.

LUTEK

Znakomicie, profesorze. Wiedziałem, że musi się nam udać, ale czegoś takiego jednak się nie spodziewałem. Byłe tak dalej.

PROFESOR

Nauka, panie Lutku, nie może ograniczyć się do opisywania obiektywnej rzeczywistości. Od lat staramy się śmiało wkraczać, sterujemy, manipulujemy i trzeba przyznać, że mamy pewne osiągnięcia. Teraz jednak zechce nam pan wybaczyć. Musimy z panią docent przejrzeć notatki, porównać nasze obserwacje, zanalizować szczegółowo ten niebywały fenomen. Wydaje mi się, pani Haniu, że temu modelowi współzycia będę musiał poświęcić oddzielny rozdział w mojej książce.

PANI DOCENT

Myślę, panie profesorze, że warto by też opublikować jakąś popularną broszurę... wie pan, na temat psychicznej higieny współzycia. Rzecz godna jest niewątpliwie rozpropagowania i wielu mężczyzn w średnim wieku z pewnością by się zainteresowało...

LUTEK

Chwileczkę, profesorze. Zanalizować zawsze pan zdąży. Teraz trzeba działać. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Niech pan sobie wyobrazi, w jakim stanie jest Baška. Wszystko runęło, nie wie, co ze sobą zrobić. Ryczy pewnie gdzieś w kącie. To najlepszy moment. Niech pan idzie i oświadczy się w moim imieniu.

PROFESOR

Słyszałem od pani docent, że już pan to zrobił.

LUTEK

Teraz nie odmówi. Potrzebuje kogoś, kto by ją pocieszył, kto by się nią zaopiekował. No niechże pan idzie. Powie jej pan, że powinna się poświęcić dla dobra nauki.

PROFESOR

Lichy argument. Nie da się na to nabrać.

LUTEK

Jakoś pan ją przekona. Przede wszystkim musi pan jej wytłumaczyć, że ożyję, kiedy mnie poślubi. Wszystkie pańskie eksperymenty wskazują przecież... Musi pan to tylko poprzeć przekonującymi dowodami.

PROFESOR

Jakimi dowodami?

LUTEK

To pan jest naukowcem, a nie ja. Jest pan naukowcem, a więc dysponuje pan dowodami. Dysponuje pan czy nie?

PROFESOR

Oczywiście, że dysponuję. Nie wiem tylko, czy ona...

LUTEK

No to udowodni pan to, co ma pan udowodnić. Pańskim pierwszym dowodem będę zresztą ja sam. Bo nie wątpi pan chyba, że ja ożyję?

PROFESOR

Tego nie jestem pewien. Mniejsza zresztą o to. Czym byłaby nauka bez cudownego elementu ryzyka, tkwiącego immanentnie w każdej hipotezie? Lękam się tylko, że pani Basia nie potraktuje mnie zbyt przychylnie... po tym wszystkim. Eksperyment warto by jednak przeprowadzić. Może by tak pani, pani Haniu...

PANI DOCENT

Chętnie, panie profesorze. Niech pan ożeni się ze mną, panie Lutku. Chcę zostać pańską żoną.

PROFESOR

Niech pan rozważy propozycję pani docent. Jej wiedza o strukturze współżycia umożliwiłaby nam dokładny opis eksperymentu. Dziękuję, pani Haneczko, że zechciała się pani poświęcić. Jest pani dzielną kobietą.

PANI DOCENT

Kocham pana. Będziemy mieli dzieci.

LUTEK

A ja kocham inną. I nie chcę mieć dzieci.

PROFESOR

Ale pani docent się zgadza, a ta, którą pan kochasz... Wątpię, żeby udało się nam ją nakłonić.

LUTEK

A więc nie chce pan być świadkiem... księdzem na ślubie upiora? Nie chce pan zobaczyć, opisać takiego ślubu? To po co żeśmy to

wszystko robili? Nie chce pan związać stułą tych dwóch rąk...
Jej ręki z moją ręką... ręki żywej z tą ręką, co już dawno zgniła?

PROFESOR

Pan się jeszcze pyta! Ale chyba nic z tego nie będzie. Zdarza się, owszem, dziś sami przecież byliśmy tego świadkami, że jakaś przebiegła upioryzka omota kogoś, kto zabląka się na cmentarzu... tak, to się zdarza... ale żeby upiór poślubił kobietę z krwi i kości lub upioryzka żywego mężczyznę... nie, tego jeszcze nikt nigdy nie widział.

LUTEK

A ten upiór, który w roku 1822... to było chyba nad Jeziorem Trockim... poszedł do cerkwi z tą wiejską dziewczyną? Zdaje się, że Marylka było jej na imię?

PROFESOR

Milcz pan!

LUTEK

Ja studiowałem historię, drogi profesorze. Lubilem się grzebać, wie pan, w takich starych szpargałach, aktach policyjnych. Miała lat szesnaście... Nikt nigdy potem już jej nie zobaczył... Tylko rybacy niekiedy słyszeli... piosenkę... ona mu z kosza daje maliny... pewnie kochankiem jest tej dziewczyny...

PROFESOR

Zaklinam pana.

LUTEK

Przekona pan Basię?

PROFESOR

Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ale to się źle skończy... ja wiem...

LUTEK

A to już nie pańska sprawa. Wprzód jednak trzeba sfinalizować to, cośmy zaczęli. Tadek jeszcze tu jest. Gdzież ta bestia mogła się podziać?

Wchodzi Walek.

PROFESOR

Oto i on. Gdzie ty się wałęsasz, Walek? Od rana cię szukamy.

WALEK

Nie twój interes, jaśnie panie. Ja nie twój poddany, a ty nie mój pan.

LUTEK

To pan profesor grzecznie się ciebie pyta, Walek, gdzie ty się podziewasz, a ty mu, sukinsynu... No gadaj, gdzie byłeś? Ależ od niego jedzie. Z kim to piłeś, Walek, co? Kto ci wódkę stawiał?

WALEK

Co się tak jaśnie panicz sroży? Czy to już upić się nie wolno? Abramek mi postawił.

PROFESOR

A cóż ty za interesy masz z Abramkiem?

WALEK

Interesów to ja z nim, jaśnie panie, żadnych nie mam. On mi tylko chciał coś poradzić, no to mu powiedziałem, żeby mi postawił, to rady chętnie, czemu nie, posłucham. Niegłupio on radzi.

LUTEK

A co on ci radził, Walek?

WALEK

Radził mi, jaśnie paniczu, żebym ja się nie mieszał do tego, co w tym dworze się dzieje, bo to nie moja sprawa. Pewnie, że nie moja. Chcecie się wyróżnić, to się wyrzynajcie. Co mi do tego. Krew nie moja, życie nie moje.

LUTEK

Ciekawe. A wiesz ty, Walek, kto tu kogo chce rznąć? No gadaj, co ci ten Abramek jeszcze napłócił? Kto kogo ma wyróżnić?

WALEK

A czy ja wiem? On tylko mówił, że tu krew się będzie łała. Jaśnie oświeceni inteligenci znów się będą między sobą różni. A ja mam sobie stąd iść, tak on mi radził. I pójdę... czarnooczkę moją wezmę i przez pola, lasy... gdzie nogi poniosą...

LUTEK

Jak chcesz, możesz iść. Ale sam, Walek. Bo hrabina z tobą nie pójdzie. Ona ma kochankę, Walek.

WALEK

Łziesz, paniczu. Kto to... ten kochanek? Łziesz, tak? Znęcasz się, sadysto. No mów, bo ja ciebie...

LUTEK

Łapy przy sobie. Profesorze, niech mu pan nie pozwoli... Puść, Walek... Powiem, tylko puść... Bo udusisz, bandyto.

WALEK

Gadaj. No nie, ty zełgałeś, paniczu. To nieprawda, nie, jakże by to tak... Ona mnie kocha. Wie, że ja bym jej nieba uchylił... pod stopy bym jej rozesał. Ludzie. To nie może być. Mówcie. Kto to taki?

PROFESOR

To ten pan, co tu wczoraj przyjechał, Walek. Ten pan Tadzio, ten, co kupił dwór. To on jest jej kochankiem.

WALEK

Nie... Ona by nigdy... z nikim...

LUTEK

Są świadkowie, Walek. Profesor, pani docent. Widzieli.

PANI DOCENT

Żal mi ciebie, Waluś. Ale to prawda.

WALEK

Ja jego... Kosą... dajcie kosę... Albo tymi rękami...

LUTEK

A może by tak zębami, Walek, co? Może byś go zębami spróbował?

WALEK

Gdzie on jest?

LUTEK

Zębami, Walek... jak mysz, jak kot myszkę.

WALEK

Zębami... jak myszę.

PROFESOR

Uspokój się, Waluś. Jeszcze nie pora na to. Jak się ściemni... w nocy.

WALEK

Nie zatrzymuj ty mnie, jaśnie panie, bo ja i ciebie... jak myślę.

PROFESOR

Głupiś, mój chłopcze. Pojmij, że chcemy ci pomóc. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Jeszcze jest za jasno. Mógłby ci się wymknąć, uciec do wioski. Wezwałby pomoc, zakuto by cię w kajdany. No cicho, cicho, nie płacz. Uspokój się, Walek. Prześpisz się w chlewiku, wytrzeźwiejesz, a wieczorem... Niech go pani zaprowadzi do chlewika, pani Haniu.

PANI DOCENT

Proszę mi pomóc, panie Lutku. Sama nie dam sobie rady.

PROFESOR

I proszę go nie odstępować, pokąd nie zaśnie. Bo jak się wyrwie, to narozrabia... a jeszcze nie pora. Wprzód te oświadczyń...

LUTEK

Mam nadzieję, że zostanę przyjęty.

PROFESOR

Proszę zdać to na mnie. Jeśli będzie pan milczał, zostanie pan jej mężem. Ale nic dobrego z tego nie wyniknie.

LUTEK

Powiedziałem już panu: to ja ryzykuję, nie pan.

Lutek i Pani Docent wyprowadzają Walka.

PROFESOR

Nad Jeziorem Trockim... Marylka jej było na imię... Biedactwo, jak ona się bała... wiatr zawiał, świece zgasły... wstrząsła się cerkwi posada... Ale skąd on, ten szczeniak?...

Wchodzi Jenerał.

JENERAŁ

Kłaniam, profesorze. Cieszę się, że pana widzę. Mam ja z panem do pogadania. Można?

PROFESOR

Siadaj pan, jenerale. Coś tak nagle słabo się poczułem. Męczący miałem dzień. Tyle pracy... a sił zaczyna brakować. Lata, jenerale,

tak, lata robią swoje. Czas mi już chyba pomyśleć o jakimś cichym zakątku, gdzie mógłbym rozprostować stare kości.

JENERAŁ

Co też pan, profesorze. Człowiek w pana wieku, i to tak aktywny jak pan, nie powinien jeszcze w ogóle o tym myśleć. Mnie się nawet zdaje, żeś ty, profesorze, ostatnio jakby odmłodził.

PROFESOR

Żartuje pan, jenerale.

JENERAŁ

A jednak słyszę, że ty teraz z młodymi przeciw starym trzymasz.

PROFESOR

A któż to takie głupstwa opowiada?

JENERAŁ

A mówią, mówią. Sam też widzę, mam oczy i widzę. Wiele tu się wydarzyło, wiele zdarzyć może. Chciałbym więc ostrzec miłego pana. Mógłbyś bowiem uczynić, profesorze, jakiś nierozważny krok. A kto mi się narazi, uważasz pan, może mieć przykrości... poważne nawet przykrości. Ja wiele wiem, wiele pamiętam. Stary jestem, nic więc dziwnego, że pamiętam. Cerkiew nad Jeziorem Trockim... pamiętam... rok 1822... Marylka, jak się zdaje, było jej na imię...

PROFESOR

No nie. Tego już za wiele.

JENERAŁ

Myślę więc, że nie zrobisz pan jakiegoś głupstwa. Szczególnie, że pani Basieńka, drogi profesorze, kiedy tylko mnie zobaczy, to zaraz oczkiem strzyże, nóżkę w pończoszce białej spod falbanki wysuwa, kolanko pokazuje... a ten buziak tak słodko do mnie się uśmiecha... i wiem ja, co to znaczy, bom kiedyś był młody...

Kurtyna

AKT III

Ta sama dekoracja co w akcie pierwszym. Z mebli zdjęto szare pokrowce: kanapy i fotele obite są ciemnoczerwonym pluszem. Tam, gdzie były plamy po zdjętych obrazach, wiszą nowe portrety: powinny być bardzo agresywne, kubistyczne lub ekspresjonistyczne. W salonie rozstawiona jest aparatura zwana nagłośniająca: mikrofony, głośniki, pulpit elektrycznych organów. Mikrofony wiszą także nad sceną. Pod ścianami stoi kilka reflektorów. Okna są otwarte. Wiosenny zmierzch. Basia wyjmuje z kufra swoją wyprawę: przegląda obrusy, bieliznę pościelową, koszule nocne, halki i układa to wszystko w szufladach komody.

BASIA

Dwanaście białych. Dwanaście różowych. Muszę teraz sprawić sobie i czarne. Obszyte czarną koronką... będzie mi w nich ładnie. No i czarny gorset. W Pułtusku jest chyba jakaś gorseciarka. Albo zamówię w Paryżu, Abramek potrafi to, myślę, załatwić... jeśli dam mu wymiary. Na wystawie światowej prezentowano podobno nowy krój... koronki tu i tam... na górze i na dole... a między piersiami róże... purpurowe... i dwie małe różyczki przy każdej podwiązce. Skądże tu się wziął ten czeppek? To chyba babciny... Kto dziś sypia w takim czepku... Gdyby go przybrać różami... mogłabym w nim sypiać. Ileż to lat przeleżał w tym kufrze... trzy powstania, dwie wojny światowe... a pasuje... i chyba jest mi w nim do twarzy...

Wchodzi Tadzio. Jest bez surduta, w rozpiętej koszuli. Błady, potargany.

TADZIO

Basieńko...

BASIA

Czegóż pan tu jeszcze szukasz? Kręcisz mi się po pokojach jak upiór jaki. Pańskie walizki stoją na ganku. Kazałam zawiadomić Abramka, niebawem przyjedzie po pana. Zechcesz pan przed dworem na niego zaczekać. Dwanaście par białych. Jest i jedna

czarna. Też pewnie po babci. Nóżkę miała małą, mniejszą od mojej. Pięty dziurawe... ale mogę zacerować... przydadzą się...

TADZIO

Słabo mi, Basieńko. Zasnąłem i wiesz, miałem taki piękny sen... Śniłem, że montujemy parową dojarkę w oborze... tyś mi pomagała... krowy ryczały... Pięknie mi się śniło... a obudziłem się taki słaby, taki słaby. Patrz, tu, pod grdyką, czy coś mnie ugryzło? Jakby ślad jakiś. I krew jeszcze się sączy. (*rozchyła koszulę*) I tu też, patrz, pod sercem. Ranka taka. Trzeba by to przemyć.

BASIA

Zasnąłeś pan i coś cię ugryzło. Ot, robactwo jakieś. Dwór jeszcze nie wykadzony, pełno tu pająków. Idźże już pan sobie, nie trujże mi głowy. Tyle tu roboty. Nie mam czasu na pogawędki.

TADZIO

To nie pająki, Basieńko, to oni. Krew ze mnie pili, kiedy we śnie spałem. Sączy się, wciąż się sączy. Patrz, Basiu, i tu także, z boku także pili. Wypijają... całą krew wypijają... a potem zagryzą...

BASIA

Zechcesz się pan nie obnażać. Nie jestem ciekawa. Krew z niego pili... przywidzenia jakieś. Kto by tam się połakomił...

TADZIO

Oni... te upiory... Wypijają, Basiu... do ostatniej kropli...

BASIA

Upiory? Wypijają? Wierzy pan w te bajki?

TADZIO

Jakżeż, Basieńko. Przecież są tu, spacerują. Słyszysz, chichoczą. Tam za oknem. Piły ze mnie...

BASIA

Coś się panu przyśniło, mój panie. Oglądałeś pan pewnie jakiś amerykański horror. Bo chyba tylko w kinie... w życiu takich upiórów, które by wypijały krew, raczej nie ma. Są za to niewierni mężowie... tacy, co zdradzają... piją krew... rozkrwawiają... podli... nikczemni... zbroczeni zbroceńcy.

TADZIO

Ja cię nie zdradziłem. Przysięgam ci, Basiu. Dlaczego ty tak ze mną... Pogódźmy się, Basiu. *(podchodząc do Basi, zaplątuje się w przewody aparatury nagłośniającej i przewraca)* Pomóż mi. Nie mogę wstać. Taki jestem słaby.

BASIA

Zawołaj pan tę dziwkę, niech ona ci pomoże. Bo ja panu ręki nie podam, o nie. No, co z panem? Kto to widział tak się czolgać? Nie mogę na to patrzeć. Jakież to wstrętne. Przestań się wić u moich stóp, bo i tak nic nie wskórasz. Jeśli sądzisz, że mnie tym wzruszysz, to jesteś w błędzie. Ja ci nie przebaczę. Między nami wszystko skończone, a tak, tak, mój panie. Twoje westchnienia, jęki nic tu nie pomogą. Doprawdy, dość już tego. Wynoś mi się stąd, daj mi policzyć bieliznę. Płazie ty.

TADZIO

Nie możemy przecież tak... Jesteś moją żoną, Basiu.

BASIA

Byłam twoją żoną. Sama sobą teraz się brzydzę. Pozwalałam się dotykać... takiemu robakowi.

TADZIO

Muszę ci jednak wytłumaczyć... Pozwól... bo bardzo się mylisz. Skąd tu te druty? To ty kazałaś?... Ale po co?...

BASIA

Przywieźli dziś rano z Pułtuska. Profesor to sprowadził. Będzie przeprowadzał jakieś eksperymenty.

TADZIO

Eksperymenty? Profesor? Będzie eksperymentował... eksperymentuje... Teraz pojmuję. Tak, to jasne. To on. No tak, on. Eksperymentuje. To była jego intryga, Basiu. On nas poróżnił, ten intrygant. Uknuł to, ukartował. Wciągnął mnie... ciebie... Teraz wszystko rozumiem. Opętał nas, oplątał. Postanowił nas rozdzielić, rozłączyć... i połączyć... skojarzyć mnie z nią. Nowe mutacje, generacje, kombinacje... pokoleniowe, ideowe... krzyżówki... różowe prosięta... trzeba krzyżować, to oczywiste... trzeba kojarzyć... mnie z nią... ciebie. O tak, on chce i ciebie...

To jasne, chce cię skojarzyć... z kim? Nie możesz im pozwolić, Basieńko. Błagam cię, nie pozwól na te eksperymenty. Nie możemy im pozwolić, tym kombinatorom. Musimy się pogodzić, Basiu. Musisz mi przebaczyć. We dwójkę damy im radę. Przegnamy ich stąd. Wytłumaczę ci wszystko. Jakież to proste. I jakie ohydne. Posłuchaj. Te jego eksperymenty, to jasne, mają jeden cel... i jeśli on osiągnie ten cel... Trzeba zniszczyć te mikrofony, te reflektory. Nie wiem, na co mu to, ale musimy zniszczyć... Pomóż mi, Basiu. Trzeba przeciąć te druty, pozrywać... przerwać... te upiorne eksperymenty... zerwać z tym raz na zawsze... Nie będzie już żadnych mutacji, żadnych krzyżówek... ideowych... nigdy, żadnych... Jeśli chcemy żyć, nie możemy pozwolić...

BASIA

Bredzisz, mój panie. Masz chyba gorączkę. Trzeba by wezwać lekarza, żeby ci krew puścił. Ale ja się tym zajmować nie będę. Kiedy już będziesz w Pułtusku, każ się Abramkowi zawieźć do szpitala. Mutacje, kombinacje... głupstwa jakieś. I bardzo cię proszę, nie szarp tych drutów. Powierzono tę aparaturę mojej opiece i nie pozwolę...

TADZIO

Ależ my musimy, Basiu... musimy zapobiec... Czy ty nie rozumiesz, że oni chcą cię skojarzyć... skrzyżować... nie wiem z kim, ale skrzyżują... zapłodnią... sztucznie...

BASIA

Zapłodnią? Sztucznie? A cóż to za świńskie aluzje? Nie życzę sobie... Posuwasz się zbyt daleko, mój panie. Ponieważ, jak widzę, nie zamierzasz uwolnić mnie od swojej obecności, poproszę moich przyjaciół... Myślę, że potrafią cię stąd usunąć.

TADZIO

Twoich przyjaciół?... Ty o nich mówisz, o tych?... Ależ oni chcą... Nie odchodź, błagam cię. Musimy oboje... Jeśli się zgodzisz na te eksperymenty, jeśli im pozwolisz, to wszystko, o czym marzyliśmy... Zginiemy oboje... i wszystkie nasze marzenia... wszystko pójdzie na marne... Czy ty już zapomniałeś, Basieńko? Mieliśmy przebudować, wyremontować... ten dwór... skanalizować... pod

oknami malwy... białe, różowe... między drzewami grządki... ogórki, arbuzy... Dlaczego ty tak na mnie patrzysz, Basiu? Jakbyś się mnie bała. Czy te nasze marzenia... malwy, arbuzy... czy tych marzeń młodości tyś się już wyrzekła? Ale czy można żyć, Basiu, bez marzeń? Czy można żyć, nie marząc, że kiedyś skandalizujemy? Jakże ty się zmieniłaś przez te dni ostatnie...

BASIA

Ja się zmieniłam? Żartujesz. To raczej ty... Choć bo ja wiem, może się i nie zmieniłaś. Zawsze mi się wydawałeś trochę nienormalny. Kiedy męczyłeś mnie po nocach tymi twoimi opowieściami o tym, jak to skandalizujesz i wyremontujesz, to miałeś takie błyski w oczach... takie złe błyski... Więc pewnie to się tylko wzmogło, rozwinęło. Powinnam była przewidzieć, że taki, co zgrzyta zębami, rozmyślając o parowej dojarce... Trzeba było cię posłać do psychiatry. Ale teraz jest już za późno. Nie da się przecież wyleczyć kogoś, kto żyje z upiorną. Takiego tylko w kaftan bezpieczeństwa.

TADZIO

Ależ ja z nią, Basiu... Nic mnie z nią nie łączy. To się stało tak nagle. Sam nie wiem jak, dlaczego. Coś mnie zamroczyło. Jestem przecież normalny, całkiem normalny. Te marzenia moje... nie pojmuję, jak ty możesz w nich widzieć coś nienormalnego. Cóż w tym nienormalnego, że ktoś chce wyremontować, położyć nowy dach, oszkląć? Wszystkich nas trzeba by uznać za nienormalnych, bo wszyscy chcemy remontować i remontujemy... i wyremontujemy, nie przeszkodzą nam... nie pozwolimy...

BASIA

Nie podnoś na mnie głosu. Nie jesteś już moim mężem, więc nie ma powodu. Oczywiście, że trzeba remontować, jeśli jest coś do wyremontowania. Ja również zamierzam. Położę też nowy dach... i skandalizuję... Moi przyjaciele obiecali mi pomoc. Ale nie widzę powodu, żeby, mówiąc o tym, wygrażać pięścią i przewracać oczyma. To właśnie jest nienormalne. No, przestań już się szarpać z tymi drutami. Bo będę musiała... Mając wzgląd na to, co nas niegdyś łączyło, wołałabym, żebyś zechciał opuścić

dobrowolnie... Bardzo cię proszę, Tadziku. Bądź tak dobry i nie każ mi... Zdaje się, że jednak się nie obejdzie... Sam sobie będziesz winien, pamiętaj. Ja tego nie chciałam.

Basia wychodzi.

TADZIO

Basiu... Basieńko... Jak ty możesz mnie tu samego... Przecież ja to wszystko dla ciebie... żeby tobie było tutaj dobrze... dlatego chciałem skanalizować... i centralne ogrzewanie też chciałem założyć... Miałabyś ciepłą wodę w łazience. I oranżerię myślałem postawić... żebyś mogła spacerować... zimą... w zimowym ogrodzie... żeby ci paluszki nie marzły. A ty mi grozisz, że ci twoi przyjaciele... te wampiry... Toż oni chcą cię skrzyżować... wiem po co... mutacje... skrzyżują... i będziesz rodziła potwory... będziesz matką potworów... Basieńko moja... będziesz karmiła potwory... generacje potworów, upiorów... będą piły krew... Nie mogę pozwolić. Trzeba to zniszczyć, przerwać te druty... Jaki ja słaby... Zębami... Nie mam sił...

Tadzio zapada w drzemkę. Wchodzą Jenerał i Porucznik.

JENERAŁ

Tak więc, drogi poruczniku, plan pański, choć świetnie pomyślany i śmiały, bardzo śmiały, wypada nam teraz zmodyfikować i dostosować do okoliczności, które zaistniały... a przyznasz pan, że okoliczności są sprzyjające... Nie sądziłem, że wszystko tak pomyślnie będzie się rozwijać.

PORUCZNIK

Mieliśmy wiele szczęścia, jenerale. Te działania, które podjął pan Lutek... Było to wsparcie, na które trudno było liczyć, którego wcale nie mogliśmy się spodziewać. Myślę, że jeszcze dziś wieczorem będziemy mogli rozegrać partyjkę. Nikt nas nie będzie już chyba próbował stąd wyrzucić. Może i panią Basię uda się nam nakłonić? Ale ona pewnie w wista grać nie umie. Zagramy więc w sześćdziesiąt sześć. Albo w oko. To gra bardzo prosta. Jeśli pan nie znasz zasad, to chętnie je panu wyłożę. Otrzymujesz pan trzy karty...

JENERAŁ

A dajże mi pan spokój, drogi poruczniku. Nie po to zawiązaliśmy to sprzysiężenie, żeby teraz powracać do naszej upiornej codzienności, do tych nawyków, nałogów, w które, przyznaję, sam popadłem, bo pozwalały mi zapomnieć o smutnych okolicznościach mego tu istnienia. Doprawdy, dziwny z pana człowiek. O tyle lat młodszy pan jesteś ode mnie, a życiowego porywu, tej woli życia, która mnie tak animuje, wcale w tobie nie znajduję. Naucz pan grać w oko Kamilka. On podobny do ciebie. Też mu się żyć nie chce. Co do mnie, to ja na to, żeby z drogimi panami grać w karty, nie będę miał raczej czasu. Mam pewne plany, dalekosiężne plany. Tyle jest tu do zrobienia. Ten dwór... toż to już ruina, wszystko się sypie. Patrz pan, grzyb wypelzł na ściany. Musimy osuszyć fundamenty, wypompować wodę z piwnic. Po każdej powodzi wszystko jest zalane. Trzeba by chyba wał przeciwpowodziowy usypać nad Narwią. Fundamentalne czekają nas tu prace. Będę więc musiał ująć silną ręką, pokierować...

PORUCZNIK

Ma pan pewnie rację, jenerale. Jeśli całą wieczność mamy tu spędzić, to trzeba osuszyć... bo i mnie, jak się zdaje, pedogra zaczyna już dokuczać. Ale na partyjkę przy świeczce godzinę, dwie uda się chyba wieczorem wykroić?

JENERAŁ

Partyjkę z miłym panem chętnie, rzecz jasna, od czasu do czasu rozegram. Byle nie wieczorem. Wieczorem inne będę miał zajęcia... ciekawsze... Patrzyć, poruczniku. Ten biedak zwlókł się jednak z łóżka.

PORUCZNIK

Jaki on błady. Długo pewnie już nie pociągnie.

JENERAŁ

Gdyby nasz profesor Walka od niego nie odciągnął i w chlewiku na kłódkę nie zamknął, już byłoby po nim. Nienasycona bestia z tego Walusia. Wysączyłby do ostatniej kropli...

PORUCZNIK

Wysączy. Nie dziś, to jutro. I dobrze mu tak, temu łajdakowi. Harapem się zamierzał.

JENERAŁ

A mnie go, wie pan, nawet trochę żal. To człowiek z charakterem, zdecydowany, odważny. Potrzeba nam takich. No, ale sam tego chciał. Gdyby świętokradczej ręki nie podniósł... Dziś w nocy profesor Walusia z chlewika wypuści... Tak, słuszna to kara dla takiego, co uszanować nie potrafi.

PORUCZNIK

Czy to warto czekać? Waluś już się opił. Więc może byśmy tak... choćby kwaterkę?

JENERAŁ

A nie, nie. Profesor słusznie uważa, że nie należy go jeszcze usuwać. W tym stanie, w którym jest, przeszkodzić w niczym już nie zdoła, a pani Basia musiałaby wdziąć żalobę. Profesorowi też się zresztą coś należy. Prosił mnie bardzo, żebyśmy się hamowali, bo chce obserwować... powolny proces przeistoczenia, pojmujesz pan? Ma nadzieję, że uda mu się uchwycić ten moment krytyczny, kiedy to... Ależ panu oczy błyszczą, poruczniku.

PORUCZNIK

Panu także błyszczą. Więc może jednak? No, mój jenerale... kilka kropel tylko...

JENERAŁ

Hamuj się pan, hamuj.

Wchodzi Kamil.

KAMIL

Nie wiecie, panowie, gdzie jest pani Basia? Chciałbym ją o coś zapytać. Ale może panowie mi powiedzą. Jak pan myśli, poruczniku, czy ten wianek... chodzi mi o ten wianek dla pani Basi... czy powinien być biały? Bo pomyślałem sobie, że między lilie można by wpleść kilka niezapominajek... to kwiatek symboliczny... a może coś różowego? (*spostrzega Tadzia*) To on... łotr... podlec... uwiódł ją... nikczemnik. Nie żyje, tak? Zamordowaliście go? To pan, jenerale? A to dobrze, to bardzo dobrze. Nie będziesz jej miał, ty... uwodzicielu ty. Nie będziesz już się z nią łajdaczył, łajdaku. Rozpustny wieprzu. W chlewie jest twoje miejsce, ty...

JENERAŁ

Niechże pan go tak nie szarpie. Jakże to można tak się znęcać?

PORUCZNIK

Sadysta zbierający niezapominajki. Tacy są najgorsi.

KAMIL

Oto i ostrzeżenie dla wszystkich łajdaczących się łajdaków. Tak kończą ci, którzy zamiast szczeblować ku górze po drabinie ducha, schodzą w dół i tarzają się w gnoju... w tym chlewie, który nazywają życiem. Jednak mordować... za to, że ktoś się tarza? Cóż on wreszcie... no tak, uwiódł. Ale chyba posunął się pan nieco za daleko, jenerale. Może by się jeszcze opamiętał i zaczął szczeblować ku górze? Jestem jednak przeciwny rozlewowi krwi. Stanowczo przeciwny. Nawet najgorszy zbrodniarz, nawet taki podrywacz jest przecież dzieckiem ducha, formą, w którą wlano... Kto rozlewa krew, rozlewa też ducha.

PORUCZNIK

Nie lamentuj, Kamilku. On jeszcze żyje. Zasnął sobie tutaj.

KAMIL

Żyje. Więc jeszcze mógłby...

JENERAŁ

Nie lękaj się pan. Nie zdoła ci on już uwieść twojej ukochanej. Waluś dobrał się do niego dziś w nocy. Spójrz no tam, na szyi... widzisz ten znak krwawy?

KAMIL

Krew... jak czerwone maki wśród pszenicznych kłosów...

PORUCZNIK

Zdaje się, że nasz poeta też miałby ochotę.

KAMIL

Krew... jak żółte kaczeńce...

JENERAŁ

Krew jak żółte kaczeńce? Tego nie pojmuję.

PORUCZNIK

Młodzi poeci lubią teraz używać takich porównań. Dlatego nikt ich nie czyta. Ale patrz, patrz, jenerale. Jak to mu drżą ręce.

JENERAŁ

Spocił się... dygocze...

KAMIL

O, co za zapach. Jakby duch się wylewał z pierwiosnków, z fiołków.

JENERAŁ

Napiłbyś się pan, co?

Kamil przypada ustami do szyi Tadzia.

PORUCZNIK

Mówił pan, że woli życia wcale już w nim nie ma. A jak to chłepcze. Ech, poeci, poeci. Na takiego, co żyje i pełen sił jeszcze, to się rzucić nie ośmielą. Dopiero jak półżywy i ducha już oddaje... dopiero wtedy. Ech, wy, trupojady nasze.

JENERAŁ

Nie powinniśmy jednak pozwolić. Profesorowi to się nie spodoba. A jeśli on umrze z upływu krwi... Basieńka słuszną będzie mieć do nas pretensję. A co gorsza, może się przestraszyć, wyjedzie. Dość, panie Kamilu. No, opamiętaj się pan. Pomóż mi, poruczniku.

PORUCZNIK

Dosyć, Kamilku. Już się napił. Zostaw coś dla innych.

KAMIL

Puść mnie pan. Jakim prawem. Ja chcę... jeszcze...

Kamil odwraca się: po jego twarzy i dłoniach splywa krew.

PORUCZNIK

Uważaj pan. Poplamisz mi mundur.

KAMIL

Krew... tu też... i tu... Co ja... co ja zrobiłem...

JENERAŁ

Napiłeś się, Kamilku.

KAMIL

Krew... Jakie to wstrętne. Jak pachnie... ohydnie. Muszę się umyć, zmyć. Jakże ja mogłem. Ile krwi. Coś mnie zamroczyło. Tak mi się w głowie kręci. A myślałem, że już niebawem rozwieję się...

zniknę... że jeszcze kilka szczebli... i duch się rozprzestrzeni w duchowych przestrzeniach. Krew... Jakież to niesmaczne. Poemat w niskim stylu. Krwisty i przekrwiony.

JENERAŁ

Warto by może wezwać profesora. Żeby pana posłuchał.

PORUCZNIK

Myśli pan, jenerale, że nasz Kamilek mógłby...

JENERAŁ

Ożyć? Nie, poruczniku. Gdyby był w nim ten poryw życiowy, który jest we mnie, to kto wie... Ale bez tego porywu, tej chęci... choćby i wiadro wypił, nic to nie pomoże. Organizm musiał jednak jakoś zareagować... spójrz pan, jak on dygocze. Tak, nasz profesor stanowczo powinien go zbadać.

KAMIL

Panowie wybaczą. Muszę umyć ręce.

Wchodzi Basia. Zachowuje się tak, jakby nie dostrzegała ani Tadzia leżącego w omdleniu, ani zakrwawionego Kamila.

BASIA

Szukam pana wszędzie, drogi panie Kamilku. Obiecał mi pan uwić ten wianek. Nieładnie tak obiecywać i nie dotrzymywać. A, pan jenerał.

KAMIL

Ja zaraz... tylko się obmyję...

JENERAŁ

Kłaniamy się naszej ślicznej pani Basińce. Zauważ, poruczniku, jak to wiejskie powietrze służy naszym paniom. Pani Basińka w oczach nam pięknieje. Przyjechała tu blada jak opłatek, a teraz, spójrz, rumieniec śliczne liczko krasie, oczki się śmieją... coraz to piękniejsza. O tak, nie ma nic nad wieś naszą i to wiejskie powietrze, takie rześkie, wonne.

BASIA

Niech mnie pan nie zawstydzą, panie jenerale. Jakże to można tak komplementować?

JENERAŁ

Gdy dziewczyna tego godna... to jakże, pani Basieńko, nie komplementować? Pozwoli pani ucałować te rączki, rączęta...

BASIA

Ach, jenerale, jenerale. Co też pan... Łaskoczesz pan tymi wąsikami.

PORUCZNIK

Jeśli pani nie ma nic przeciwko, to ja też... ucałuję.

JENERAŁ

Hamuj się, poruczniku.

BASIA

No już, już, wystarczy. Może kiedy indziej, poruczniku. Bo teraz musimy iść z panem Kamilem. Najwyższa pora uwić ten wianuszek. Chodźmy, panie Kamilku. Nazrywamy kwiatów. Na łąkach nad Narwią widziałam takie drobniotki, fioletowe...

KAMIL

Proponowałbym raczej lilie. Kwitną już w dąbrowie, takie białe i dumne. I kilka niezapominajek... błękitnych jak lzy... którymi płaczą duchy szczeblujące...

Basia i Kamil wychodzą.

JENERAŁ

Zawstydziłem Basieńkę. Widziałeś pan, jak się zarumieniła? Lubię ją zawstydząć. A jak już zawstydzę, to dalej bym zawstydział, pokąd cała w pąsach nie stanie... jak ją Pan Bóg stworzył... bielutka... a w pąsach. Ech, zachciało się staremu. W moim wieku wstyd to tak zawstydząć.

PORUCZNIK

A wstyd... wstyd staremu. Ale chyba i na nas pora, jenerale. Trzeba się przebrać, ogolić, oporządzić jakoś. Chodźmy.

Porucznik wychodzi.

TADZIO

Jenerale... Jeśli pan taki dobry... Chciałbym z panem pomówić.

JENERAŁ

Kto tu? A, to pan. Czegóż pan sobie życzy?

TADZIO

Mam prośbę... Tylko sił mi brak. Niech pan podejdzie bliżej.

JENERAŁ

Słucham. Mów pan, byle zwięźle. Nie mam wiele czasu.

TADZIO

Ja wiem, że pan... pan mnie nienawidzi. I słusznie. Chciałem pana stąd wygnać. I niestosownych pewnie słów użyłem. Ale tylko pan może... Pan jest tu najstarszy. I choć upiór, to jednak człowiek poważny, godny. Tylko na panu mogę więc polegać. Niech mnie pan wysłucha. Błagam pana. Mnie już niewiele życia pozostało.

JENERAŁ

Chodzi panu o pochówek? Tym się pan martwić nie musisz. Wyprawimy panu... zgodnie z obyczajem. Nie powiem, żebym czuł do pana sympatię, ale każdemu przecież się należy.

TADZIO

Nie o tym myślałem, jenerale. Pochówek... Cóż to za różnica, gdzie ja leżał będę. Basia... chodzi mi o Basię. Ona jest taka beztroska, taka lekkomyślna. Boję się o nią. Gotowa zrobić jakieś głupstwo. Ktoś mógłby ją skrzywdzić. Czuję, że ktoś chce...

JENERAŁ

O to też pan nie musisz się lękać. Musiałby to być wielki podlec, kto by takie uroczce stworzenie próbował skrzywdzić. Zapewniam pana. Basińce nic tutaj nie grozi. Zwracam też miłemu panu uwagę, że rzucając takie podejrzenia... Raz już mnie pan obraził. Drugi raz nie ścierpię.

TADZIO

A jednak. Nie myślałem o panu, skądże. Przecież powiedziałem, że mam pana za człowieka godnego, zacnego. I cenię... nie doceniałem, ale teraz cenię.

JENERAŁ

Miło mi.

TADZIO

Znam pana zasługi. Wiem, że mogę liczyć... i dlatego właśnie... proszę... Bo Lutek... jego to miałem na myśli... Lutek jest zdolny do wszystkiego... nie ma skrupułów... nigdy nie miał... Jestem pewien, że chce skrzywdzić... skrzywdzi... Gdybym ja mógł... ale taki jestem słaby... coraz słabszy... A Basia nic nie pojmuję... albo pojąć nie chce.

JENERAŁ

Chyba pan przesadza. Ten młokos, myśli pan, mógłby zrobić jakąś krzywdę pańskiej żonie... pańskiej byłej żonie? No to muszą panu powiedzieć, że nie docenia pan, nigdy zresztą pan nie doceniał, wielkich zalet charakteru naszej Basieńki. Jej rozsądek, jej stanowczość... słów doprawdy nie mam... A jakie to rozkoszne... kiedy nóżkę wysuwa... ech, pieszczoszka.

TADZIO

Nie zna pan Lutka, jenerale. Kiedy Lutek czegoś chce, kiedy chce coś mieć, nic go nie powstrzyma. Zniszczy każdego, kto mu stanie na drodze... kto myśli inaczej niż on...

JENERAŁ

Ciekawe. O mnie też tak kiedyś mówiono. Że zniszczę każdego.

TADZIO

A ja go znam, jenerale, o, jak ja go dobrze znam. Wiem o nim wszystko. Poznałem go, kiedy miałem czternaście lat. Byliśmy jeszcze dziećmi, chłopakami takimi, rozhukanymi, niesfornymi. Chodziliśmy do tej samej klasy. To on mnie wtedy wciągnął, namówił. Bo on już wiedział, czego chce, a ja wówczas mało co z życia pojmowałem. Czułem, że coś jest nie w porządku... ale on umiał sobie dać radę z takimi, którzy czuli inaczej, myśleli inaczej. Umiał przekonywać. A jak kogoś nie mógł przekonać, to niszczył. Chyba to lubił, bo nigdy nie ukrywał, że chce kogoś zniszczyć. Ileż razy mi mówił: „Zniszczymy cię, Tadek; jeśli się nie zmienisz, to ja cię zniszczę”. I zniszczył mnie... zniszczył moje dzieciństwo, moją młodość, moje najlepsze lata. Ciągłe kazał mi się tłumaczyć. Zawsze byłem ten gorszy... taki, co to niczego nie rozumie, nie może zrozumieć, bo ma świadomość ograniczoną przez pochodzenie i ulega zgubnym wpływom.

Kiedy chodziłem do szkoły, nosiłem, wie pan, taki baskijski beret. Lutek dał mi za to naganę z wpisaniem do akt.

JENERAŁ

Baskijski beret? Naganę? Nic z tego nie pojmuję.

TADZIO

Bo też nie da się tego pojąć. Nikt nigdy już tego nie pojmie. Nasze dzieci, wnuki będą się śmiały. Nie pojmą. A potem wyciągnął mi tego mojego dziadka, który podobno fernalom kazał się po rękach całować. Musiałem się tłumaczyć, choć nie znałem dziadka, umarł przed moim urodzeniem. Lutek kazał mi złożyć takie oświadczenie... że nic mnie nie łączy. Choć wszystko mnie wtedy łączyło i dzisiaj mnie łączy. Dziadek był dyrektorem liceum, a może gimnazjum w Pułtusk. A kiedy na starość osiadł na wsi, uczył czytać i pisać dzieci z czworaków. Wieczorem, siedząc na ganku, czytywał starym wieśniaczkom „Tygodnik Ilustrowany”. Matka mi opowiadała... A po nocach pracował nad projektem parowej dojarki. Przekazał szkice i notatki ojcu, ojciec mnie. Jestem pewien, że nigdy nie pozwolił się nikomu pocałować w rękę. Jakże mogłem się wyprzeć...

JENERAŁ

Gdybyś się pan wyparł tego swojego dziadka, byłbyś pan łajdakiem.

TADZIO

Nie wyparłem się.

JENERAŁ

Pozwól pan, panie Tadeuszu, że uścisknę pańską dłoń. Wiele nas dzieli, ale wiele też i łączy.

TADZIO

Po latach Lutek oskarżył mnie jednak... o to, że się wyparłem, że samym moim istnieniem znieważam te święte popioły... liberalizmu naszego. Tak to właśnie ujął. O, bo Lutek bardzo się zmienił. Choć, z innej na to patrząc strony, wcale się nie zmienił. Tyle że z takiego, który niszczył, stał się takim, którego niszczą. Przynajmniej tak potem mówił. Że wszyscy go niszczą... ja, Basia, wszyscy.

JENERAŁ

Tego też nie pojmuję.

TADZIO

Ani ja. Choć Lutek nieraz próbował mi wytłumaczyć, a i ja sam wiele o tym myślałem. Doprawdy, nie mogę tego pojąć. Ani tych jego skłonności, które mu wszystko kazały niszczyć i trutować, ani tej przemiany, tak naglej i połączonej, to mu trzeba przyznać, z wyrzutami sumienia... też jednak dziwnymi, gdyż pchającymi go do agresji przeciw tym, którzy wyrzutów sumienia nie mają, bo i mieć nie mogą. Okoliczności, rzecz jasna, tłumaczą wiele. Ale wreszcie wszyscy dojrzewaliśmy w tych samych okolicznościach. Jest jakaś tajemnica w tym Lutku, tajemnica Lutka. A może nie ma żadnej tajemnicy? Może po prostu co pewien czas pojawiają się wśród nas tacy ludzie... jakby z jakąś skazą... tak już genetycznie urzędzeni... tacy, którzy chcą, żeby wszyscy ich się bali... i gotowi są zapłacić każdą cenę... za ten nasz strach... bo chcą być pierwsi... w każdych okolicznościach i w każdej epoce? Jeśli jest więc w Lutku jakaś tajemnica, to może jest to genetyczna tajemnica?

JENERAŁ

Wychowałem się, panie Tadeuszu, w epoce, w której o tych tam genach nikt jeszcze nie słyszał. I nikt się wtedy genetycznie nie urządzał. Kto był świnią, to był świnią. A kto był porządnym człowiekiem, o tym wszyscy wiedzieli, że to człowiek porządny. I cieszył się szacunkiem przyjaciół, sąsiadów. Ot i tyle. Pan jesteś niewątpliwie porządnym człowiekiem. Kto w wojsku służył, ten się zna na ludziach. Szkoda, że wszystko nas rozdziela, bo ja ku życiu, a pan... Ale pozwól, że jeszcze raz dłoń pańską uścisnę. I proszę mi wierzyć, nie mam pretensji, że pan chciałeś mnie tym harapem... Może i miałaś trochę racji. Gdyby to w innych okolicznościach... z pewnością byśmy się dogadali. Tyle że ja zniszczę każdego...

TADZIO

Niech pan zniszczy Lutka. Bo on chce... ja wiem. Niech pan ratuje Basię, jenerale. Niech pan zaopiekuje się Basią.

JENERAŁ

O Basię, synku, możesz być spokojny.

Wchodzi Lutek.

LUTEK

Proszę, jaka miła przyjacielska pogawędka. A o czym to panowie tak gawędzicie, można wiedzieć? Bo jeśli o mnie, to chętnie posłucham.

TADZIO

Lutek... Błagam pana, jenerale.

JENERAŁ

Niech pan będzie spokojny, panie Tadeuszu. Spełnię pańską prośbę.

LUTEK

Zechce mi pan powiedzieć, co pan obiecał temu człowiekowi? Bo coś mu pan obiecał.

JENERAŁ

A nie, nic. Tak sobie tu gadaliśmy.

LUTEK

Jednak powiedział pan: „Spełnię pańską prośbę”. A więc ten osobnik prosił pana o coś, a pan obiecał mu, że jego prośba zostanie spełniona.

JENERAŁ

Przesłyszał się pan. Niczego mu nie obiecywałem.

LUTEK

Nie przesłyszałem się. Coś mu pan obiecał.

JENERAŁ

Zdawało się miłemu panu.

LUTEK

Nie, jenerale. Powiedział pan: „Spełnię pańską prośbę”. Jaka prośbę?

JENERAŁ

Nic takiego nie powiedziałem.

LUTEK

Powiedział pan. Słyszałem wyraźnie. Niech się pan nie wykręca.

JENERAŁ

No to powiedziałem. No to co z tego?

LUTEK

Jeśli pan powiedział, że pan spełni jego prośbę, to znaczy, że on o coś pana prosił. O co?

JENERAŁ

O nic mnie nie prosił.

LUTEK

Owszem, prosił. Zechce pan powiedzieć o co.

JENERAŁ

A po cóż panu to wiedzieć? Prosił mnie... Jakże on mógł mnie o coś prosić? Przecież widzi pan, w jakim on jest stanie.

LUTEK

Jest w stanie, w którym może tylko prosić. No więc, o co pana prosił?

JENERAŁ

Prosił mnie, żebym wysłał telegram. Mam zawiadomić jego rodziców, że zachorował. Chce, żeby przyjechali po niego do Pułtuska. Chyba nie ma w tym nic złego? Pójdę do wioski, wyślę ten telegram.

LUTEK

Chwileczkę, jenerale. On nie ma rodziców. No, słucham. O cóż to nasz Tadek może być spokojny? Bo powiedział pan także: „Niech pan będzie spokojny”.

JENERAŁ

Powiedziałem coś takiego? Ależ nie. Pan się myli.

LUTEK

Dlaczego pan mnie okłamuje, jenerale? Jesteśmy przecież przyjaciółmi. A może jest pan przyjacielem tego człowieka? Jest pan jego przyjacielem? Czy moim? Jego, tak? Od jak dawna?

JENERAŁ

A cóż to, przesłuchanie?

LUTEK

Co też pan. Jakże śmiałym pana przesłuchiwać. Jest pan o tyle starszy ode mnie. Pytałem tylko... Pan może mi odpowiedzieć albo nie. Ale chyba byłoby lepiej, gdyby mi pan powiedział, o co on pana prosił. Bo jednak o coś pana prosił. O co?

JENERAŁ

A niechże mi pan da spokój. Prosił o coś, tak. Ale już nie pamiętam o co.

LUTEK

Pamięta pan.

JENERAŁ

Pamiętam?

LUTEK

Tak. O co prosił?

JENERAŁ

Niech pan tak na mnie nie patrzy. (*długie milczenie*) No niech pan pyta dalej. Dlaczego pan milczy? Prosił mnie, tak. I obiecałem mu. Niechże pan pyta. Słucham. No, co pan chce wiedzieć? Długo pan jeszcze będzie milczał? Nie mogłem mu odmówić. Widzi pan, w jakim on jest stanie. Jakże mu mogłem odmówić?

LUTEK

Wiem, że mu pan nie odmówił.

JENERAŁ

No, niech pan pyta. Mówże pan coś. Pytaj. Tylko nie patrz tak. Wszystko powiem... tylko zapytaj. Litości. Prosił mnie, żebym pana zniszczył.

LUTEK

Przyjaciele powinni być wobec siebie lojalni, jenerale. Cieszę się, że jest pan wobec mnie lojalny. A teraz niech pan idzie się przebrać. Już pora.

JENERAŁ

A tak, tak. Już pora. Chciałbym jednak powiedzieć miłemu panu, że te metody, które pan stosujesz... sposób, w jaki zadajesz pan pytania... mam już swoje lata... i nikt się jeszcze nie ośmielił...

mógłbym być twoim ojcem, młokosie... i wiedz pan, że uważam pańskie metody za niedopuszczalne.

LUTEK

Ależ, jenerale. Jesteśmy przecież przyjaciółmi. A przyjaciele nie powinni mieć przed sobą tajemnic. I niech pan włoży galowy mundur. Bo nie wypada, staruszkule, żebyś wystąpił w takim wyplamionym... to chyba jakimś sosem tak się powalałeś? Ręce ci się trzęsą, stary niechluj. Przydałaby ci się pielęgniarka, co by cię karmiła. I ty miałbyś mnie zniszczyć. Tadek to ma pomysły. No idź, idź, jenerale. I te kłaki, co ci z nosa rosną, przystrzyż, bo to ohydne... te kłaki sterczące.

JENERAŁ

Nieładnie, mój panie. Szydzić tak ze starego, co nad grobem stoi... bardzo nieładnie. To się zemścić może.

Jenerał wychodzi.

LUTEK

Tak się nie robi, Tadek. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć: że tak się nie robi. Jesteśmy przecież przyjaciółmi. Znamy się od tylu lat. Wydawałoby się więc, że mogę od kogoś, kto uważa się za mego przyjaciela, wymagać, aby był wobec mnie lojalny. Nie mówię już o całkowitej lojalności, ale przynajmniej w jakichś podstawowych sprawach... mam chyba prawo żądać. A ty chciałbyś mnie zniszczyć. Mnie. I to czymi rękami? Tego starego pierdziela. Nie, tak się nie robi. Czy ty nic nie pojmujesz, Tadek? Nigdy nic nie pojmowałeś. Ale czas już, żebyś pojął. Bo jak teraz nie pojmiesz, to już nigdy nie pojmiesz. Czy ty nie widzisz, co tu jest grane? O co chodzi w tej grze? Nie o mnie, Tadek, o nie. I nie o ciebie. Chodzi o Baśkę. Czyś ty pomyślał, knując przeciwko mnie z tym pieprzonym jenerałem, co się stanie z Baśką? Czyś pomyślał, co z nią będzie, kiedy on mnie zniszczy? Nie zniszczy, ale gdyby zniszczył... Wyobrażasz to sobie? Dostałaby się w ich łapy. A tak, Tadek. W łapy tego jenerała albo tego porucznika. A przecież wiesz, co to są za ludzie. Całkowicie bezideowi. Nigdy nie mieli żadnej idei poza jedną: żeby się dorwać. Czy ty mnie słuchasz? No to słuchaj. Baśce potrzebny jest ktoś, kto umiałby

nią pokierować. Łagodnie, taktownie, ale jednak pokierować. To dobra dziewczyna, tyle że okropnie lekkomyślna. Lubi się bawić, flirtować, niepoważna taka. Znasz ją nie gorzej niż ja, więc sam wiesz. Jeśli się nią nie pokieruje, jeśli nie ukaże się jej jakiejś idei, jakiejś wielkiej idei, dla której warto żyć, to może zrobić jakieś głupstwo. Wystarczy niekiedy jeden nierozważny krok, żeby się stoczyć. No i zmarnuje sobie życie. A tego, myślę, nie chcesz. Taki nie jesteś. Jednak coś tam w tobie jeszcze się kołacze. Jakieś resztki przyzwoitości. Nie chcesz chyba, żeby Baśce stało się coś złego. Trzeba ją ratować, Tadek. I tylko ja mogę to zrobić. Bo ja mam taką ideę, taką wielką ideę, dzięki której nasze życie może stać się życiem ideowym, życiem, które będzie godne tej idei. Pytasz, co to za idea? Mógłbym ci wyłożyć, ale i tak nie pojmiesz. Krótko mówiąc, to jest idea życia godnego tej idei. Tej idei, która ożywia to życie, czyniąc je przez to życiem godnym tej idei. I tak nie pojmiesz. Właśnie dlatego musiałem cię izolować: bo nie byłeś w stanie pojąć tej mojej idei. Mam nadzieję, że nie masz do mnie o to pretensji. Zależy ci chyba na szczęściu Baśki, a z tobą nie byłaby szczęśliwa. Zmarnowałaby się, Tadek. Zmarnowałbyś ją. Powiem ci szczerze: tacy ludzie jak ty wywierają strasznie demoralizujący wpływ. A tak. Bo to za sprawą takich jak ty szerzy się przekonanie, z gruntu fałszywe przekonanie, że można żyć, nie mając idei, żadnej idei, która by nadawała życiu znaczenie ideowe. Nigdy nie miałaś takiej idei. I nigdy już nie będziesz miała. Zdemoralizowałaś Baśkę, sam to chyba przyznasz. I nadal byś ją demoralizował. Stoczyłaby się, Tadek, oboje byście się stoczyli. Dlatego musiałem... i nawet jeśli tego nie pojmujesz, bo zapewne przerasta to twoje możliwości, to chyba akceptujesz. Myślałem, że może uda mi się to załatwić w inny sposób, chciałem cię oszczędzić. Ale okazało się, że muszę... że nie mogę cię oszczędzić. Uwierz mi, Tadek. Nie mogłem inaczej postąpić. Gdybym cię nie usunął... Dlaczego ty ciągle żądasz ode mnie, żebym się przed tobą tłumaczył? Wszyscy ciągle żądacie... Postępuję zgodnie ze swoim sumieniem i nie widzę powodu, dla którego miałbym się tłumaczyć... przed kimś takim. Nie masz prawa żądać ode mnie... Uważam, że to raczej ty powinienes mi wytłumaczyć... i choć raz mógłbyś...

Ale oczywiście zbyt już jesteś na to dumny, zbyt pyszny... Ta twoja pycha... Nie raczysz się nawet odezwać... jakie to ohydne...

Wchodzi Amelia. Jest w stroju podróżnym – i znów w czerni. Niesie sakwojaż, pudło na kapelusze, torby, torebeczki: bagaż w stylu romantycznym.

AMELIA

Do widzenia, panie Lutku. Życzę panu wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że państwa pożycie ułoży się szczęśliwie.

LUTEK

Pani wyjeżdża?

AMELIA

Tak. Nie wiem jeszcze, dokąd się udam, ale czuję, że powinnam zmienić otoczenie. Znajdę chyba jakiś cichy cmentarz, gdzie zapomniana od wszystkich będę mogła dożyć w spokoju... Może gdzieś na Kresach? Zbyt wielu mieliśmy tu ostatnio gości, i to takich natrętnych, hałaśliwych... doprawdy, zbyt wiele robili hałasu. A ja potrzebuję spokoju, ciszy. W moim wieku takie gwałtowne przeżycia, wzruszenia... to rozstraja nerwy. Nie, nie, to nie dla mnie. W okolicach Krzemieńca są podobno takie zapomniane cmentarze, gdzie wśród pokruszonych nagrobków snują się bezimienne widma, milczące widma... i nikt tam nikogo nie napastuje, nikt do nikogo nawet nie zagada. Nic mnie tu nie zatrzymuje, a więc... Żegnam pana.

LUTEK

Walek będzie niepokieszony.

AMELIA

Także dlatego postanowiłam stąd wyjechać. Dlatego że ten mój Waluś... Nie sądzi pan, że ja bym go tylko unieszczęśliwiła? To prostak, zwierzę takie. Nic nas w istocie nie łączy. I myślę, że jemu tylko się wydaje... że wmówił sobie... i że ta miłość do mnie to miłość wmówiona. A w każdym razie miłość, co się rodzi z nienawiści. Tak, on mnie raczej nienawidzi niżli kocha. Hate-love, tak to nazywają Amerykanie. Widziałam, jak profesor zamykał go w chlewiku. Miał krew na twarzy, na rękach. Cały był umazany. Jakież to ohydne. On nas wszystkich nienawidzi.

Wszyscy się tu nawzajem nienawidzimy. Ja pana, pan mnie. Także ten człowiek... tylko udawał, że kocha. Nie wiem, w jakim celu, ale udawał, zwiódł mnie, oszukał... nikczemnie. Klęczał potem przed tą Basią, przysięgał, że tylko ją kocha. Także pewnie udawał. O nie, nie mogę tu pozostać. Jakże mogłabym mieszkać w tym dworze, gdzie wszyscy wszystkich oszukują, zwodzą... wszyscy nienawidzą wszystkich... a nikt nikogo nie kocha... nikt... Udawali tylko, że kochają... ale już nikt, nikt mnie tu nie kocha... Czy on żyje?

LUTEK

Jeszcze żyje. Profesor prosił, żeby go nie wykańczać. Ale bardzo się wykrwawił, więc długo pewnie nie pociągnie.

AMELIA

Podszedł mnie... tak podle. Jakież to zły człowiek. Zimny, bezwzględny, przebiegły. Kiedyś był inny, kochający, czuły. Byłam dla niego wszystkim. Jakże on się zmienił. Życie... co ono z nas robi. Kamilek miał rację. On już za życia był trupem... bo duch w nim obumarł. Ile zła jest w tej twarzy, w tych ustach wykrzywionych, jak błyszczą te zęby. O, zły to będzie upiór, przebiegły, krwiożerczy. Żegnaj, Tadeuszu. Dałeś mi lekcję, ale cieszę się, wiesz, boś mnie nauczył... umarli żywym nie powinni ufać... I nie zaufam... nigdy już... nikomu.

LUTEK

Niech go pani stąd zabierze. Będzie nam tu przeszkadzał. Proszę położyć go do łóżka. Wreszcie to pani narzeczony. A może wzięłaby go pani ze sobą? Pojedziecie razem do Krzemieńca... Był moim przyjacielem... Nie życzę mu źle...

AMELIA

O nie, drogi panie. Nie myślę się nim zajmować. Niech się ta jego Basia nim zaopiekuje. Ba, Basia. Ja stąd wyjeżdżam, ale pan, panie Lutku... Lękam się, że nie znajdzie pan szczęścia u boku tej kobiety. To przebiegła osóbką. Ma takie złe oczy, a kiedy się uśmiecha, to ząbki tak jej błyszczą... podobnie jak jemu. Może pojechałby pan ze mną? Uważam, że powinniśmy unikać kontaktów z żywymi. Niech się pan zastanowi. Jeśli pan sobie życzy, mogę odłożyć mój wyjazd. Znajdziemy jakiś

omentarz pod Krzemieńcem. A może byśmy wywędrowali do Galicji? Ludzie tam upiorom przychylniejsi. Szanują, celebrują. Bardzo zacni są ci nasi Galicjanie. Co ty na to, Ludwiczku?

LUTEK

Na imię mi Lutek. I bardzo proszę, żeby pani... Nie lubię tego tonu.

AMELIA

Lutek to przecież Ludwik. A więc Ludwiczek, Lucek, Lucuś. Lutek to takie ordynarne. Nie złość się, Lucusiu. Boję się o ciebie, wiesz. Ta kobieta... ona może cię skrzywdzić. Ale ja jej nie pozwolę, o nie. Nie pozwolę zrobić krzywdy mojemu Ludwiczkowi. No więc jak, miły mój Lucusiu? Pojedziesz ze mną?

LUTEK

Niech mnie pani nie głaszcze. Tego nie zniosę. Nikt mnie nigdy nie głaskał... życie mnie nie głaskało... Może pani sobie głaskać tego pani Tadzika. Tego pani narzeczonego.

AMELIA

Tego... A dlaczegoż to miałabym go głaskać? Nic mnie przecież nie łączy z tym człowiekiem. A z tobą, Lucusiu, z tobą ileż mnie łączy. Wszystkie. Poglądy, przekonania. Ideologia, a także ideozofia... Czyż z ideozoficznego punktu widzenia nie jesteśmy do siebie podobni, a nawet dla siebie stworzeni? Mamy tę samą ideozofię. Nie mówiąc już o tym, że jesteśmy w tej samej sytuacji.

LUTEK

Bardzo się pani myli. Jestem w zupełnie innej sytuacji niż pani. A co do ideologii... Kobiety nie mają... wielokrotnie się o tym przekonałem. Dlatego tak trudno się z nimi dogadać.

AMELIA

Pewnie masz rację. Choć nadrabiam miną, ideozoficznie jestem do niczego. Licha ze mnie ideozofka. Ale kobiecie, która upośledzoną będąc, nie posiada, ktoś powinien ukazać... jakiś ideał wielki, ideozoficzny. Więc gdybyś zechciał, Lucusiu... Ja się chętnie zastosuję. Jestem pewna, że gdyby ci, którzy niegdyś mnie kochali, umieli i mogli mi wskazać, żyłabym potąd. Niestety, nie mogli, bo sami nie posiadali. Ideologicznie byli do niczego. Więc jakże będzie? Nie żądam, żebyś zdecydował

od razu. Pójdę, rozpakuję sakwojaż. Możemy wyjechać jutro lub pojutrze.

LUTEK

Ja stąd wyjeżdżać nie zamierzam. I uprzedzam panią, hrabino, że jeśli pani...

AMELIA

Niechże więc i tak będzie. Zostaniemy tutaj.

Wchodzą Profesor i Pani Docent. Biorą za ręce i nogi Tadzia i układają go gdzieś pod ścianą. Zaczynają montować aparaturę nagłośniącą. Przewidują reflektory, przeciągają druty.

LUTEK

Jeśli pani sobie życzy, zaniosę pani walizki na przystanek. Złapie pani jeszcze ostatni pekaes do Pułtusza.

AMELIA

Dziękuję ci, Ludwiczku. Zdecydowałam się zostać. Jeśli ty nie wyjeżdżasz, to i ja nie powinnam się chyba stąd ruszać. Jutro porozmawiamy sobie spokojnie. Bardzo cię tylko proszę, Ludwiczku, myśl, co robisz, i nie zrób jakiegoś głupstwa. Bo jeśli zrobisz jakieś głupstwo, to ja ci tego nigdy nie wybaczę. Jesteś mi potrzebny... więc pamiętaj, Lucusiu... i tej pani Basi też nie wybaczę... chyba zbyt wiele już jej wybaczyłam...

Amelia wychodzi.

Profesor i Pani Docent nadal krzątają się, rozstawiając aparaturę.

LUTEK

Nienasycona upioryzka... Ideozofii jej się zachciało. Ale zdaje się, że mogę mieć z nią kłopoty... Nagada jakichś głupstw Baśce... albo i zrobi jej coś złego. Powinienem był od razu jej powiedzieć, że nic z tego... i że nie ma na co liczyć... ale jak to takiej powiedzieć... żeby do niej dotarło... i tak by do niej nie dotarło. Nigdy jeszcze nie udało mi się przekonać kobiety... choć wiele razy próbowałem... uświadamiałem, tłumaczyłem... Kobiety... cóż to za bezideowy element... Nie pojmują, nie są w stanie pojąć żadnej idei... nawet nie to, że odrzucają... po prostu do nich nie dociera. Próbujesz taką uświadomić... a ona tylko tak

patrzy... jakby się dziwiła... jak krowa, która pierwszy raz w życiu spostrzegła motyla... i nie pojmuje... Życie byłoby cudowne... byłoby zbiorem idei... jedną wielką ideą... byłoby całkowicie ideowe... o, ideologiczną byłoby całością... gdyby tylko można było wyeliminować z niego ten bezideowy element... element kobiecości... upiornie odporny...

PROFESOR

Niech się pan idzie przebrać, panie Lutku. Już noc... głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Zaraz zaczynamy. Czyżby pan zapomniał?

LUTEK

A nie, nie. Jakże mógłbym zapomnieć. Tak sobie tu tylko rozmyślałem. Lubię, wie pan, rozmyślać na scenie. To taka staroświecka konwencja. Dziś nikt tak już nie pisze dla teatru. Współcześni autorzy starają się wszystko to, co mają do powiedzenia, zmieścić w dialogu, jakby wstydziło się tych kwestii, które samotna postać wygłasza na scenie. Uważają, że te kwestie są niedopuszczalne, bo w życiu nikt, kiedy jest sam w pokoju, głośno do siebie nie mówi. Ale przecież ja, sam będąc na scenie, nie mówię do siebie, lecz do tych tam ludzi, którzy mnie słuchają. Więc choć głośno rozmyślam, to i dialoguję, bo i oni, ci, co tam milczą, dialogują ze mną. Nie wiem tylko, czy to, co ja w tym dialogu mam do powiedzenia, jest całkiem jasne. Może więc wyjaśnię... i w trybie przedmowy, którą przed tą komedią myślałem położyć, ale sądzę, że i tu, w trzecim akcie, można by ją zmieścić, więc w trybie przedmowy kilka słów powiem. Raczej nie ufam autorskim komentarzom, ale tym razem, czuję to, powinienem jakiś komentarz do tego, co potąd zostało powiedziane, dodać. Tyle więc powiem. Kto w tej komedii chciałby znaleźć i kto z tej komedii chciałby wyjąć żarty czy kpiny z naszej przeszłości narodowej, ten niech się tekstu tego – to do tych mówię, co ten tekst reżyserować będą – ten niech się tekstu tego nie dotyka. To jest komedia serio – bardzo serio – a więc niemal dramat. I trzeba ten tekst grać, jak gra się dramat, wszystkie kwestie poetyckie podając z powagą, z sentymentem i z czcią, które się od nas naszej rodzinnej przeszłości, które się od nas

nam samym należą. Kiedy o krwi jest w tej komedii, w tym dramacie mowa, nie ma – to szczególnie podkreślam – z czego się śmiać: choć nieraz o tej krwi mówi się u mnie z chichotem. Ale przeszłość – i to jest moje serio – jest naszej krwi naprawdę złakniona, bo tylko my tę przeszłość krwią naszą ożywić możemy, a i my – i to jest też sprawa serio – krwią przeszłości naszej, ideami przeszłości naszej, duchem przeszłości naszej ciągle się żywimy. Ci ludzie, którzy wychodzą u mnie na scenę, choć może i śmieszni – jak i my śmieszni jesteśmy, bywamy – są w sytuacji dramatycznej. Bo też ich problem, nasz problem jest dramatyczny: jak się od ciężaru przeszłości czy ciężaru tradycji naszych uwolnić, ale tak, żeby się od niego nie uwolnić, jak się go pozbyć, ale tak, żeby go się nie pozbyć, jak ciężar ten nieść i przenieść w przyszłość, tak żeby nie był on nam ciężarem, żeby ten ciężar stał się nam skrzydłami. Aż nas, zjadaczy chleba: ja w to bardzo wierzę. Bardzo też proszę reżysera, który ten tekst będzie wystawiał, żeby nie machał bezmyślnie ołówkiem – co tak częste, niestety, w teatrach naszych, gdzie lubi się grać szybko i krótko; ja lubię długo i wolno – więc żeby mi reżyser nie machał, proszę, ołówkiem, wykreślając to, co w tej komedii może wydać się nieistotne, a co dla mnie bardzo istotne: myślę o wszystkich realiach życia – choćby o tych serach, to z kminkiem, to z ziołami, podawanych w czasie podwieczorku dla Antosia, o tej świeczce, co na umywalce stojąc, oświetla wychodzącą z kąpeli Basię, o tym derkaczu nad Narwią, którego wspomina Amelia – o tych wszystkich realiach, które może i obciążają dialog, czyniąc go dialogiem powieściowym raczej niżli teatralnym, ale które są konieczne. A są konieczne, żeby Pana Tadeuszową „wieprzowatość” naszego życia ziemiańskiego – życia w starciu z ideami, czyli śmiercią, z duchem, czyli śmiercią – uwyżnić. Więc proszę mi tych realiów nie wyrzucać. Komedja moja ma zresztą, co łatwo zauważyć, nie tylko tytuł, ale i tok powieściowy: i proszę na to zważać. Gdybym miał położyć nad tym tekstem – w środku tego tekstu – motto, które najstosowniej myśl moją by uwyżniło, to położyłbym taki fragment z listu młodego Aleksandra Fredry do Ignacego Konarskiego: „Kręcmy się, jak chcemy, błądźmy, igrajmy po tym świecie, zawsze jednak przy

końcu znajdziemy przed sobą drogę, którą szli nasi poprzednicy i którą pójdą nasze potomki. Na tej drodze mieszka spokojne pożycie wśród rodziny i tą drogą najsmadniej zbliżyć się do grobu, nie pragnąc go ani też się nie trwożąc z daleka”. Piękne zdania. Tym, którzy nieuważnie słuchają, chciałbym zwrócić uwagę, że jest w te zdania wpisany – da się, powiem inaczej, z tych zdań wywieść – cały program społeczny: a mianowicie program dziewiętnastowiecznego polskiego konserwatyzmu. I dlatego te zdania jako motto biorę. Bo myśl naczelną, pierwszą tej komedii mojej z tego to programu – nigdy zresztą w całości niesformułowanego – zaczerpnąłem i za tymi to przodkami moimi tę myśl powtarzam. Myśl moich przodków była taka: społeczeństwo organiczne żadnego programu duchowego, żadnej idei nie potrzebuje. Aby się mogło rozwijać, aby naprzód mogło postępować, musi ono żyć i to mu wystarczy, to jest warunek jedyny i wystarczający. Musi żyć, czyli istnieć jako społeczeństwo organiczne: czyli żyjące społeczeństwo żywych. Tyle w trybie przedmowy. Ale idźmy dalej. Cóż dalej będzie... kiedy ożyjemy?

PROFESOR

Już noc... głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Czyżby pan zapomniał? Zaraz zaczynamy. Tam, w sypialni, wisi frak Kamilka. Niech go pan przymierzy.

LUTEK

A tak, tak. Zaraz będę gotów. Beze mnie i tak zacząć pan nie może.

Lutek wychodzi.

Profesor i Pani Docent sprawdzają aparaturę nagłośniąjącą. Dokonują próby głosu. Rozstawiają mikrofony.

PROFESOR

Niech pani włączy reflektory, pani docent.

Pani Docent włącza reflektory. Scenę zalewa na moment pulsujące światło, takie jak w młodzieżowych dyskotekach: oczywiście z przewagą koloru czerwonego.

PANI DOCENT

Wszystko gra, profesorze. Ale będzie bal.

PROFESOR

Mam pewne obawy...

PANI DOCENT

Musi się udać. A nawet jeśli się nie uda... żaden eksperyment nie idzie przecież na marne. Każdy jest szczeblem...

PROFESOR

Proszę się jednak trzymać nieco na uboczu. Najlepiej gdzieś blisko okien albo przy drzwiach. Niech pani będzie ostrożna. Umie pani na tym grać?

PANI DOCENT

Kiedy byłam mała, rodzice wymagali, żebym uczyła się grać na pianinie. Przywiązywali mnie za nogę. Myślę, że potrafię. Co to za instrument?

PROFESOR

Nie wiem, jak się nazywa. Te beatowe orkiestry używają teraz takich. Niech pani spróbuje.

PANI DOCENT

Co mam zagrać?

PROFESOR

Co pani chce.

PANI DOCENT

Umiem jakieś gamy.

PROFESOR

Niech więc będą gamy. A jakiegoś marsza... weselnego, żałobnego... potrafi pani zagrać?

PANI DOCENT

Nigdy się nie uczyłam. Ale mogę spróbować.

Pani Docent wypróbowała instrument. Wchodzi Abramek. Ani Profesor, który krząta się przy aparaturze, ani ćwicząca gamy Pani Docent nie zwracają na niego uwagi.

ABRAMEK

Nu, ja przywiozłem tę flintę, co to ją obiecałem panu dziadkowi. Wielmożny pan będzie mógł sobie postrzelać. Można nabić śrutem, a można i kulami. Ale wystarczy śrutem, one są

płochliwe. Oddam za dwanaście rubli. A jak wielmożny pan nie ma, to ja chętnie wielmożnemu panu skredytuję. Odda mi wielmożny pan po zbiorach. A to co takiego? Krew? Nu, żeby to kilka kropel, ale to cała kałuża. To znaczy, że ja się spóźniłem. I ta moja flinta to już się panu dziedzicowi na nic nie przyda. Krew... Żle tu się dzieje. O tak, to bardzo, bardzo straszny dwór. Une i do mnie mogą się dobrać. Ja jestem uczciwy tutejszy Żyd, panu dziedzicowi brat, ale żeby te upiory miały pić moją krew, to ja nie chcę. Nu, ja mam brata w Teksas, ja do niego napiszę. Niech on mi przyśle szyfkartę.

Abramek wychodzi.

Wchodzi Kamil z wiankiem z białych lilii.

KAMIL

Wianuszek już gotów. Przyzna pani, droga pani docent, że mi się udał. Lilie z mojej dąbrowy...

PROFESOR

Możemy więc zaczynać. Proszę włączyć światła, pani Haniu.

Pani Docent włącza pulsujące reflektory. Wchodzą Basia i Lutek. Basia jest w białej ślubnej sukni z czarnym welonem, Lutek we fraku.

BASIA

Dziękuję za wianek, panie Kamilu. Niech mi pan pomoże wpiąć go we włosy. O tak. Kamilek będzie moim świadkiem, profesorze.

PROFESOR

Weźcie się za ręce, moje dzieci. Zamknijcie drzwi od salonu... stańcie wokół tego trupa...

BASIA

Powinniśmy poczekać na Józefa. Mógłby się poczuć obrażony.

LUTEK

Mówisz o jenerale? Nie widzę powodu, żebyśmy mieli na niego czekać. Klękamy, Baśka. Czy chcesz poślubić...

PROFESOR

Niech pan nie wchodzi w moją rolę, panie Lutku. Pozwoli pan, że ja sam... połączę i zwiążę... a co zwiążę, tego człowiek nie rozwiąże... Proszę nam zagrać marsza, pani docent.

Pani Docent siada do instrumentu i zaczyna grać. Potrzebna jest taka kompozycja, która łączyłaby znane elementy marsza weselnego i żałobnego, przerywane gamami Pani Docent. Wchodzi Amelia.

AMELIA

A cóż to za hałasy? Co tu się dzieje?

PANI DOCENT

Ciszej, hrabino. Niech pani nam nie przeszkadza. Czy pani nie widzi? Pierwszy to w naszych dziejach pozagrobowych ślub żywej z umarłym.

AMELIA

Ach, więc to tak. To mój Ludwiczek... i Basia. Nieładnie, Lucysiu. Tak się nie postępuje. Obiecujesz jednej, a poślubiasz inną. A ja tak cię prosiłam, mój drogi, żebyś myślał, co robisz. Ale ja ci nie pozwolę zrobić tego głupstwa. Wyjeżdżamy stąd, mój panie. Idź i spakuj swoje walizki.

LUTEK

Proszę mnie puścić. Powiedziałem przecież wyraźnie, że nie mam zamiaru... Nic nas nie łączy, proszę więc nie liczyć... Profesorze... Niechże pan coś zrobi z tą wiedźmą.

PROFESOR

Mówiłem panu, panie Lutku, że będą kłopoty... że to się źle skończy.

KAMIL

Amelio, błagam cię... Nie pojmuję, dlaczego chcesz im przeszkodzić. Niechże się pobiorą. A potem i my moglibyśmy... Profesor da nam ślub...

AMELIA

Nie zwracaj mi głowy, mój Kamilku. Ludwiczek oświadczył mi się dzisiaj i został przyjęty. Nie pozwolę więc, żeby jakaś dziwka... Jesteśmy sobie potrzebni, Ludwiczku. Ty jeszcze tego nie pojmujesz, ale jeśli mamy ożyć...

LUTEK

Co pani wygaduje. Oświadczyłem się... no nie, coś podobnego. Nie słuchaj jej, Baśka. Ona ma urojenia.

BASIA

Jeśli ta osoba chce cię poślubić, Lutek... Może byłoby dla ciebie lepiej...

LUTEK

Nie gadaj głupstw. Proszę grać, pani docent. Wiąż nam ręce, profesorze.

AMELIA

O nie, Lucysiu. Tyś mój... mój mąż... Mnie, księżu, stułą wiąż...

LUTEK

Niech pani będzie rozsądna. Może pani poślubić tego tam Kamilka. Ale wprzód ja z Baską...

AMELIA

Po moim trupie.

LUTEK

Niech i tak będzie. Po pani trupie.

Wchodzi Jenerał i Porucznik. Obaj są w galowych mundurach. Pani Docent przestaje grać.

LUTEK

Niechże pani gra. No, profesorze...

PROFESOR

Chwileczkę, panie Lutku. Nie widzi pan, że nasz drogi jenerał zechciał nas zaszczyścić... Prosimy, jenerale.

JENERAŁ

Witam drogich państwa. Pani Basieńka coraz to piękniejsza... I niezwykle korzystnie wygląda... spójrz pan, poruczniku... w tym czarnym welonie, w tym wianuszku białym...

PORUCZNIK

Wiejskie powietrze służy naszym damom.

JENERAŁ

Pozwoli pani ucałować śliczne rączki... rączęta... paluszki...

BASIA

Pan mnie zawstydza, jenerale. Ale całuj pan, proszę. Pan także, poruczniku, chciałbyś ucałować?

PORUCZNIK

Jeśli pani pozwoli...

JENERAŁ

To i ja, jeśli pani nic przeciwko temu nie masz, raz jeszcze ucałuję.

BASIA

Pan przystrzygł sobie wąsy.

JENERAŁ

Porucznik był tak dobry i ciachnął przed chwilą. A jak pani mnie znajdujesz w tym oto mundurze?

LUTEK

Cóż to za pogawędki? Profesorze... Miło mi, jenerale, że zechciał pan przyjść na mój ślub, może jednak będzie pan teraz tak dobry i pozwoli...

JENERAŁ

Nauucz się, młodzieńcze, że kiedy starsi mówią, to się im nie przerywa. Bo za uszy wytargam. Więc jak pani znajdujesz ten mundur, Basieńko? Chyba mi w nim do twarzy?

BASIA

O tak. Pięknie pan dziś wygląda, jenerale miły. Niemal jak żywy.

JENERAŁ

Bo też czuję, Basieńko, że powoli powracam... że życie powraca... i przywrócony życiu... powrócę... Przyłóż uszko, o tu, tu gdzie było serce. Słyszysz? Bo mnie się wydaje... jakby znów biło. Jeszcze słabo bije, jeszcze nierówno... to głośniej, to ciszej... ale chyba bije. Daj mi rękę, Basieńko.

BASIA

Służę panu, mon général.

JENERAŁ

Masz stulę, księżo? No to możemy zaczynać.

LUTEK

A cóż to znowu za pomysły, staruszku? Chce pan być świadkiem na moim ślubie? Nie prosiłem pana o to. Sam poprowadzę Baśkę do ołtarza.

JENERAŁ

Zejdź mi z drogi, młokosie. Uklęknij, Basieńko.

LUTEK

Stójcie. Co to znaczy? Co tu się dzieje?

JENERAŁ

To właśnie, co pan widzisz. Basia mnie poślubia.

LUTEK

Co?

JENERAŁ

Wychodzi za mnie.

LUTEK

Kto?

JENERAŁ

Basia.

LUTEK

Co Basia?

JENERAŁ

Widzę, że jak dziecku trzeba panu wytłumaczyć. Basia idzie za mnie. Za mnie idzie, pojmujesz? Poślubiam Basię. Basia poślubia mnie. Ślub, zaślubiny. Będę jej mężem. A ona będzie moją żoną. Czy teraz to jest jasne dla miłego pana?

LUTEK

Ależ ona... ja... Co pan wygaduje? Baśka. Profesorze. Powiedz mu, Baśka. No, mówże. Czyś ty oniemiała? Panie Kamilu... może pan. Pani Haniu. Pani Haneczko. Ja panią błagam. Niech pani mu powie... niech pani coś powie...

BASIA

Jenerał oświadczył mi się wczoraj. Nie mogłam odmówić.

LUTEK

Oświadczył ci się... no nie... on, ten starzec... To przecież ja ci się oświadczyłem. Wychodzisz za mnie. To jest nasz ślub, Baśka. Mój i twój. Przecież się zgodziłaś. Przyjęłaś moje oświadczyny. Profesorze, niechże pan... przecież pan się oświadczał w moim

imieniu... niech pan się wreszcie odezwie... niech pan powie temu żołdakowi... Ach, więc to tak. Teraz pojmuję. To jakiś spisek. Wszyscy przeciwko mnie. Chcecie mnie zniszczyć... wszyscy... a, łajdacy...

JENERAŁ

O, mój panie. Tego to już za wiele. Oskarżać mnie, nas wszystkich... o jakiś spisek... gdyś to ty spiskował...

BASIA

Nie powinieneś się denerwować, Józiku. Ja cię bardzo proszę. Mogłoby ci to zaszkodzić. Pozwól, ja mu wytłumaczę...

LUTEK

A cóż tu jeszcze jest do wytłumaczenia? Uknuliście... Ale jeśli myślicie, że te wasze knowania... że się wam uda... to mnie nie znacie... potrafię pokrzyżować... Przyjąłeś moje oświadczyni, nie ma więc o czym mówić. Będiesz moją żoną.

BASIA

Nie, Lutek. Będę żoną jenerała. Wiem, że cię krzywdzę... i bardzo mi cię żal. Ale myślę, że tak będzie najlepiej. Nie tylko dla mnie, Lutek. Także i dla ciebie. Bo my nie pasujemy do siebie, Lutek. Nic nas już nie łączy. Nic, zupełnie nic. Te twoje idee... cóż one mnie obchodzą? Kiedyś... kiedy jeszcze żyłeś... kiedy żyliśmy oboje... tak, kiedyś wiele nas łączyło... wszystkie twoje idee... wszystko. Ty o tym nie wiesz, bo nigdy ci tego nie powiedziałam, ale wtedy... wtedy cię kochałam... albo zdawało mi się, że cię Kocham. Kiedy leżeliśmy obok siebie w tym stogu... pamiętasz... zagrzebani w sianie... a ty wyjmowałeś z moich włosów źdźbła słomy... i tłumaczyłeś mi, na czym polega rola jednostki w historii... i jak duch dziejów wciela się w jednostkę... jednostkę, która pojęła, czego chce duch dziejów... tamtej nocy wierzyłam, że będę, że mogę być z tobą szczęśliwa. Wydawało mi się, że pojmuję, czego chce duch dziejów... Chciał, żebyśmy byli duchem dziejów... duchem przyszłości... bo przeszłości nie było... była jak te źdźbła słomy, które wyjmowałeś mi z włosów i kruszyłeś w palcach... pokruszone źdźbła... Tak, wtedy mi się wydawało... wtedy wierzyłam... bo kto wierzy, temu się tylko wydaje... a komu się wydaje, ten wierzy... Wierzyłam, że

przyszłość będzie inna niż przeszłość... że może być inna. Ale to było wiele lat temu, Lutek. Byliśmy wtedy tacy młodzi, tacy dziecienni... marzyliśmy, jak to dzieci... a potem marzyliśmy o tym z Tadzikiem... znowu marzyliśmy... łudziliśmy się... że uda nam się z naszych pól i lasów, z naszych chat krytych strzechą i bielonych dworów przegnać te wszystkie upiory... że uda nam się zapomnieć o naszej przeszłości... że te widma, te zjawy nie będą nas ścigać... że przeżyjemy nasze życie, żyjąc wśród żywych... żywi dla żywych... życie dla życia... trzeba z żywymi naprzód iść... żyjąc dla życia żywych... po życie sięgać nowe... żywi w życiu żyjącym... w żywej wodzie życia... w zielonej dąbrowie życia, gdzie na grobach kwitną pierwiosnki i słowik śpiewa piosnkę dla żyjących... łudziliśmy się... A jeśli już mam wybierać między upiorami, to wolę generała. To człowiek godny, zacny. I nie ma żadnych idei... nie pragnie szczeblować po drabinie ducha. Kiedy mi się oświadczył, pojęłam, że mam obowiązek... że jestem zobowiązana ofiarować mu wszystko... ten dwór... moją rękę... aby umożliwić mu powrót do życia... aby mógł żyć, działać. Bo tylko on, a tak, przyjacielu moich lat dziecinnych, tylko on może zaprowadzić tu porządek, tylko on może uporządkować nasze życie... także nasze życie pozagrobowe. Kiedy ożyje... a ożyje, poślubiając mnie, jestem pewna, że ożyje... przegna stąd was wszystkich... wszystkie upiory... Bo przegnasz ich, prawda? Wszystkich, wszystkich... także tego Lutka. Obiecałeś mi to, Józiku.

JENERAŁ

I dotrzymam, Basieńko. Możesz na mnie polegać.

BASIA

Kocham cię, mon maréchal.

LUTEK

Dość tej gadaniny. Zaręczyłaś się ze mną, moja śliczna, i ze mną pójdziesz do ołtarza. Nie zamierzam zrezygnować z ciebie tylko dlatego, że zadurzyłaś się w tym bezideowym starcu. Rusz się pan, profesorze. Gdzie jest ta stuła? Sam zwiążę...

JENERAŁ

Profesorze, liczę na pańską lojalność.

PROFESOR

Nie zawiodę pańskiego zaufania, jenerale. Wszystkie nasze eksperymenty miały na celu przywrócenie pana do życia. Manipulujemy zgodnie z duchem dziejów.

LUTEK

Pośpiesz się pan, profesorze. Ten starzec nie ma tu nic do gadania. Wiąż nam pan ręce, ale już. Powiedz mi, Barbaro, czy zgadzasz się poślubić tego oto Ludwika...

JENERAŁ

Niech pan go wpuści, poruczniku.

LUTEK

Powiedziała: tak. Ja także się zgadzam. Jesteś moją żoną.

Porucznik otwiera drzwi. Wchodzi Walek. Koszulę poplamioną ma krwią. Krew sphywa mu po twarzy i rękach.

JENERAŁ

Bierz go, Walek.

WALEK

Tego? Ja chcę tamtego... z tamtego... do ostatniej kropli...

PORUCZNIK

Tamtego też dostaniesz. Teraz bierz się za tego. Zębami go, Waluś. Chciał tu wziąć ślub z hrabiną. Już szli do ołtarza.

WALEK

Ślub? Z czarnooczką moją? Ten? To ja go zaraz...

LUTEK

Mylisz się, Waluś. Oni cię okłamują. To ona chciała ze mną... chciała mnie poślubić...

WALEK

Chciała... z tobą... To ja ciebie... z ciebie... krew... aż się wykrwawisz...

LUTEK

Hrabino. Niech mu pani nie pozwoli. Przecież pani nie chce... chciała mnie poślubić...

AMELIA

Chciałam. Ale pan nie chciał.

LUTEK

Byliśmy zaręczeni... jesteśmy...

WALEK

Z krwią trzeba się zaręczyć... krew trzeba poślubić...

LUTEK

Profesorze... Marylka jej było na imię...

PROFESOR

A tak, Marylka... Miała takie oczy zielone, bezdenne... jak wody jeziora... Pierwsze to były w naszych dziejach pozagrobowych takie zaślubiny... żywej z upiorem... Ostrzegałem pana, panie Lutku.

LUTEK

Jenerale... Jeśli pan sobie życzy... będę pańskim świadkiem.

JENERAŁ

Zostaw go, Walek.

WALEK

On jest mój. To moja krew... każda kropla moja...

JENERAŁ

Toż to upiór, Walek. Krwi w nim już nie ma. Nic z niego nie wydusisz... ani kropli. No dosyć już, dosyć. Jeszcze nieraz się napijesz. Świadka mi nie potrzeba. Ale będziesz pan dzwonił. Profesor musi mieć ministranta. Uklęknijmy, Basieńko. Prosimy, pani docent. Dzwon pan, panie Lutku.

Pani Docent uderza w klawisze. Rozpoczyna się obrzęd zaślubin. Słychać pierwsze – jeszcze odległe – grzmoty.

KAMIL

Grzmi.

AMELIA

Idzie burza.

PORUCZNIK

Błyska się w oddali.

PROFESOR

Powiedz mi, Józefie, czy chcesz pojąć za żonę tę oto Barbarę?

JENERAŁ

Tak.

*Grzmoty coraz głośniejsze. Ściany salonu zarysowują się i pękają.
Gasną reflektory. Scenę zalewa sine, upiorne światło błyskawic.*

PROFESOR

Powiedz mi, Barbaro...

LUTEK

Ależ grzmi.

KAMIL

To nie burza.

AMELIA

Wyłączyli elektryczność.

PORUCZNIK

Pewnie jakaś awaria.

PANI DOCENT

Ściany się rysują.

JENERAŁ

Rób pan swoje, profesorze. Coś pan tak pobladł?

PROFESOR

Przewidywałem to. Powiedz mi, Barbaro...

KAMIL

Podłoga trzeszczy.

AMELIA

Otwiera się...

LUTEK

Pęka...

AMELIA

Ile tu dymu. Duszę się, Kamilku.

KAMIL

Podaj mi rękę.

PORUCZNIK

Wszystko w głąb się wali.

BASIA

Mój dwór... dwór się zapada...

JENERAŁ

Tyś moja... dwór mój...

PROFESOR

Jak wtedy... Marylka jej było na imię... Tutaj, pani Haniu. Tu będziemy bezpieczni.

KAMIL

Tyle lat szczęlowałem...

JENERAŁ

Księżę... zwiąż nam dłonie...

LUTEK

Dwudziesty wiek, koledzy, jeszcze się nie skończył. I nigdy się nie skończy.

PROFESOR

Jak wtedy... Tamta cerkiew też w głąb się zapadła.

Wśród zapadających się w głąb upiorów ukazuje się Marylka: wiejska dziewczeczka w haftowanej białoruskiej koszuli.

MARYLKA

Chodź... chodź do mnie, Jasieńku... To ja, twoja Marylka... Chodź... będziesz czuł... wierzył...

PROFESOR

Marylko... ukochana moja... Niech mnie pani trzyma, pani Haniu.

MARYLKA

Ja i po śmierci kocham... Chodź... Widzisz świat w proszku... Chodź... bo są prawdy żywe... w żywej głębi życia... Do mnie... do mnie... Jasieńku...

PROFESOR

Mocno, pani Haniu. Niech pani trzyma mocno.

LUTEK

Czy słyszeliście, koleżanko, o Heglowskiej triadzie?

KAMIL

Trzeba było nas oswoić... mówił pan Antoni...

BASIA

Marzyłam... że na zimę konfitur usmażę...

Basia, Jenerał, Lutek, Amelia, Kamil, Porucznik, Walek i Marylka zapadają się w głąb. Dobrze byłoby, gdyby wraz z nimi mogła zapaść się część mebli i ścian: tak, żeby na scenie pozostały ruiny dworu.

PANI DOCENT

Nic się panu nie stało, panie profesorze?

PROFESOR

Nic. Trochę tynku we włosach... drobiazg. Trzeba przyznać, że wyszliśmy z tego obronną ręką. Już myślałem, że mnie to wciągnie.

PANI DOCENT

Kto to był?

PROFESOR

Kto? A, ta... Jakiś zabłąkany upiór. Zdaje się, że z początków dziewiętnastego wieku. To się, wie pani, niekiedy zdarza: że jakiś upiór zabłąka się i nie może potem odnaleźć drogi powrotnej. Wszyscy się błąkami. Proszę notować, pani docent. W trakcie prowadzonych przez nas badań nad modelami współżycia okazało się, że istnieje możliwość krzyżowania... tak, krzyżowania... Jednak nie najlepiej się czuję. Serce mi wali. Proszę pisać. W celu ostatecznego wyjaśnienia tej kwestii trzeba jeszcze przeprowadzić pewne manipulacje, bo tylko dalsze manipulacje pozwolą nam na uzyskanie efektu końcowego tych krzyżówek, który to efekt... chyba sobie usiądę... który to efekt zapowiada się nadzwyczaj obiecująco... nie wolno nam więc rezygnować... i powinniśmy skupić się teraz na badaniu tych genetycznych krzyżówek... na krzyżowaniu... chyba mam arytmie... tych ideowych genów, które się krzyżują... badania nasze muszą bowiem wybiegać w przyszłość... a te krzyżówki to jest właśnie...

Tadzio podnosi się spośród ruin.

TADZIO

Basia... Gdzie jest Basia, profesorze?

PROFESOR

To pan? Myślałem, że pan także się zapadł.

TADZIO

Mów pan. Gdzie ona jest?

PROFESOR

Pańska małżonka poświęciła się dla dobra nauki. Może pan być z niej dumny. Dzięki pani Barbarze udało nam się przeprowadzić niezwykle istotny eksperyment. I muszę panu powiedzieć, że jako królik doświadczalny zachowywała się wspaniale... z prawdziwym heroizmem...

TADZIO

To pan. O tak, to pan. Te pańskie eksperymenty... Pan ją skojarzył... skrzyżował... ty łajdaku...

PROFESOR

Przecenia pan moją rolę, drogi panie. Jestem tylko skromnym pracownikiem nauki, który bada i opisuje. Widzę i opisuję. I proszę tak nie szczerzyć zębów. Ja się upiórów nie boję. Niech pani notuje. Upiór numer 78 łamane przez XX. Spotykany w opuszczonych, zrujnowanych dworach, w dworskich parkach i sadach, na wiejskich cmentarzach. Po raz pierwszy zauważony i opisany w majątku Gnojno, w okolicach Pułtuska i Kleszewa, na prawym brzegu Narwi...

Znów słyhać grzmot. Ale tylko jeden. Błyskawica oświetla scenę. Tadzio zapada się w głąb.

TADZIO

Niech mnie pan ratuje. Ja jeszcze żyję. Niech mi pan poda rękę.

PROFESOR

A dlaczegoż to miałbym pana ratować? Zajmuję się upiorami, żywi mnie nie interesują. A pan będzie wspaniałym upiorem.

TADZIO

Ale ja się nie nadaję... ja naprawdę się nie nadaję... Żyjąc, jeszcze coś mógłbym... jeszcze coś bym zdołał... Tam... w komodzie... trzecia szuflada od góry... plany parowej dojarki... niech pan je przekaże... a kiedyś zaśpiewa... pieśń życiodajną... o, jak chce się żyć...

Tadzio znika w czeluściach.

PROFESOR

Niech pan będzie spokojny. Przekażę te pańskie plany pana dzieciom, wnukom... A prawda, pan nie ma dzieci. A więc pańskim duchowym spadkobiercom. Kiedy zamontują tę pana parową dojarkę, będziesz pan mógł osobiście dozorować... kontrolować proces udoju... Będziesz pan straszył przyszłe pokolenia. Chodźmy, pani Haniu. Myślę, że ten cykl naszych badań możemy uznać już za zakończony.

Profesor i Pani Docent wychodzą.

Kurtyna

styczeń–luty 1978